

LITERACKA
OBECNOŚĆ

tanecznym
krokiem

TRZY PO TRZY,
ALBO cztery
razy po trochu

Sceny
miłosne

PL ISSN 0465-7667 Nr indeksu 36 650

madododrze

CZYTELNIA

C-150/IV

ZIELONA GÓRA 16 XI — 29 XI 1986 R.
ROK XXX NR 23 [628] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Bęta Grabowska i Andrzej Gliwa — mistrzowie rock and rolla (Rozmowę czyt. na str. 3)

KONIECZNOŚĆ INTEGRACJI

Rozmowa ze Stanisławem Bargielem,
przewodniczącym WPZZ
w Zielonej Górze

— Panie Przewodniczący, nie udało mi się znaleźć numeru Wojewódzkiego Porozumienia Związków Zawodowych w książce telefonicznej. Informacja telefoniczna podała numer nieistniejącej WRZZ. Co Pan na to?

— Książkę wydano dawno, przed 1980 rokiem. Jako Wojewódzkie Porozumienie, funkcjonujemy nieco dłużej aniżeli rok. Zajmujemy trzy skromne pokójki przy ulicy Wyspiańskiego, w budynku dawnego WRZZ. Pachnie u nas lekarstwami, bowiem sąsiadem jest przychodnia zajmująca się zdrowiem psychicznym i seksuologią. I te okoliczności mogą być wyjaśnieniem dla różnych zmyłkowych sytuacji, chociaż w moim przekonaniu, niezupełnie. Rzecz bowiem w tym, że stan w którym obecnie jesteśmy, wynika również i z dramatycznych okoliczności, w jakich przyszło się odradzać polskiemu ruchowi związkowemu. Przecież jesteśmy osadzeni w rzeczywistości społecznej, politycznej, ekonomicznej kraju. Zaczęliśmy się organizować z pozycji — nazwijmy ją — parterowej, po zawieszeniu stanu wojennego. Klimat dla powstawania nowych związków nie był przyjazny. Powstawaliśmy przeciw zubożeniu, rozczarowaniu, zwątpieniu, podejrzliwości co do naszych intencji. Z góry traktowano nas — działaczy związkowych, jako agenturę rządu. Po wstawiliśmy wbrew wszelkim uprzedzonom. I nie było nam lekko. Przecież odrodzenie polskiego ruchu związkowego nie mogło polegać na prostej rekonstrukcji, na nawiązaniu do pewnych form. Koncepcja ruchu związkowego określona kryptonimem CRZZ skompromitowała się w wietrze historii. Taka sama kompromitacja, tyle że dokonana o wiele szybciej, nastąpiła w NSZZ „Solidarność”. Przecież dziś wiadomo prawie wszystkim, że kierownictwo tego ruchu anarcho-syndykalistycznego, pracowicowego, działało jedynie pod maską związków zawodowych, w istocie nie mając z nimi nic wspólnego. Organizując się, nasz ruch związkowy,

nie mógł się do tych doświadczeń odwoływać. Poruszając się w nowych ramach ustawowych, sam sobie musiał odpowiedzieć na szereg pytań natury zasadniczej. Odpowiedzi na te pytania trzeba było szukać przez praktykę, przez doświadczenie, metodą prób i błędów.

— Nowe ramy prawne i logika polityczna która za nimi stoi, są w pewnym sensie ofertą „góry”. Sejmowi, Radzie Państwa, PZPR jako sily wiodące. Wynika z tej oferty, że autentyczny, silny, partnerski ruch związkowy jest dzisiejszej Polsce niezbędny. Natomiast samo powstawanie związków jest ruchem oddolnym, dokonującym się w realiach przedsiębiorstw i instytucji. Przecież zaskakujące może być to, że inspiratorami nowych związków bywali (by wają?) na przykład dyrektorzy fabryk!

— Określone sytuacje wymuszały, choć zgodą, że nie jest to najlepsze rozwiązanie, taką inspirację. Odkładanie pewnych strategicznych decyzji, na fabrycznym gruncie, może kosztować wiele. Ich podjęcie, bez zgody związku zawodowego, bywa często niemożliwe. Ale wtedy również, gdy związek powstał z popychania przez administrację, to w swoim działaniu szybko nadziewał się na barykadę wznieśloną przez biurokrację, technokratyczne zapędy, opcje ekonomiczne. Siła i autentyzm związku zależy od tego, czyje interesy w istocie rzeczy reprezentuje. Jeśli są to interesy ludzi pracy, nie wiódź sprawy.

— Zgoda! — nie było wam lekko. Mielicie jednak kapitał: autentycznych działaczy, otrząskanych w walce.

— Czy Pan myśli, że NSZZ „Solidarność” pozostawiła nam rezerwę kadrową? Dawni działacze ze związków branżowych też mieli swoje zgrzyzy. Tych

Ciąg dalszy na str. 4

Twórcy polskiej myśli zachodniej

ROMAN DMOWSKI

Stanisław Ciesielski

NA PYTANIE o postać-symbol polskiego nowoczesnego nacjonalizmu najczęściej pada jedna odpowiedź: Roman Dmowski. Jest w tym wiele racji, choć wnikliwszy badacz też nie bez słuszności zauważy, że oryginalność Dmowskiego jako ideologa była znacznie mniejsza, niż powszechnie się sądzi.

Roman Dmowski (1864—1939) przeżył całą epokę: daty jego narodzin i śmierci wyznaczają zamknięty okres dziejów narodowych, okres, w którym sam Dmowski odegrał zresztą rolę znaczącą. Był niekwestionowanym przywódcą jednego z czołowych wówczas polskich ruchów politycznych — narodowej demokracji, należał do grona „architektów” odrodzonej Polski, a potem przewodził ugrupowaniu sprawującemu „rząd dusz” znacznej części Polaków.

Był Dmowski nacjonalistą, naród stanowił dlań kategorię kluczową i nadrzędną, przez pryzmat której dokonywał

oglądu całej społecznej rzeczywistości. Własny naród miał wszelkimi dostępnymi środkami walczyć o jak najwyższą pozycję między innymi narodami i wokół tych zadań koncentrować się powinien wysiłki wszystkich jego członków. Oczywiście konkretna sytuacja narodu polskiego, rozdartego granicami państw zaborczych, wyznaczała sposoby i zakres walki o realizację nacjonalistycznych celów.

Dmowski, baczny obserwator procesów zachodzących w sferze stosunków międzynarodowych i wewnętrznych, wczesnie doszedł do wniosku o nierealności polskich zamierzeń powsta-

nych. Wynikało to tak z przekonania o militarnej potęgze zaborców, jak i z uświadomienia sobie, że polskie klasy posiadające nie są zainteresowane podejmowaniem masowej akcji, grożącej powikłaniami społecznymi i raczej u zaborców właśnie skłonne są szukać oparcia przeciw aspiracjom mas ludowych. A Dmowski coraz bardziej zbliżał się właśnie do pozycji politycznego reprezentanta klas posiadających, a z własnego obozu pragnął uczynić trójzaborowego rzecznika ich interesów. Takie stanowisko kazało z zainteresowaniem przyglądać się pozazbrojnym formom walki o narodowy stan posiadania. Szczególnie frapujące musiały być dla Dmowskiego osiągnięcia polskie w walce o ziemię w zaborze pruskim i odrodzenie narodowe na Śląsku. W procesach tych widział potwierdzenie własnych poglądów narodowych, potwierdzenie preżności i dynamizmu narodowego, ale i narodowego solidaryzmu.

Nacjonalistyczna postawa Dmowskiego bezpośrednio wiązała na jego stosunku do kryteriów określających zasięg terytorialny przyszłej Polski. W istocie odrzucał zarówno zasadę etnograficzną, jak i historyczną. Przypuszczając, że Pol-

Ciąg dalszy na str. 4



MANNHEIM
— NAGRODY

Leon Bukowiecki

(Korespondencja własna z RFN)

XXXIV ubiegłoroczny mannheimski festiwal filmowy był triumfem kinematografii polskiej. Za trzy pokazane filmy zdobyliśmy trzy nagrody. W tym roku zasłużony sukces odniosła kinematografia radziecka — również trzy nagrody, za trzy filmy, tyle że wyższe, bo wśród nich Nagroda Główna Miasta Mannheim. Co więcej, nagroda nie tylko za służoną, ale przewidziana wcześniej przez większość uczestników festiwalu. Mam na

myśli wstrząsający film Konstantina Łopuszńskiego pt. „Listy zmarłego”. Przyznam, że nigdy nie podejrzewałem kinematografii radzieckiej o zrealizowanie filmu tego typu i w takim właśnie stylu. Chodzi w nim bowiem nie tylko o wojnę atomową, ale o przerażający obraz całkowitej zagłady ludzkości. Co prawda Łopuszński ogranicza się do nie wielkiej grupy, która ów „koniec świata” (na razie) przeżyła, lecz przy okazji pokazuje zaskakujące ruiny, olbrzymie, wieczne pożary i tak totalne zniszczenia, że włosy stają na głowie. Jest to najsilniejsze ostrzeżenie antyatomowe, jakie kiedykolwiek widziałem na ekranie.

Z równym entuzjazmem została przyjęta przez publiczność nagroda specjalna dla filmu najbardziej politycznie zaangażowanego. Dostał ją Australijczyk David Bradbury za niebywałe wprost zdjęcie, montaż i komentarz do filmu. „Chile — jak długo jeszcze”. Okazuje się, że zrozumieli, pewnie siebie i kwaśno uśmiechnięty Pinochet nadal dopuszcza do tortur i morderstw na ulicy. Dokonują ich jego policjanci, w zachowaniu podobni do gestapowców. W którymś momencie Pinochet z najniewinniejszą na świecie miną stwierdza, że w jego kraju panuje... demokracja.

Ciąg dalszy na str. 8

opinie i refleksje

40 LAT UNESCO

Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) obchodzi właśnie swe 40-lecie. Na leży do niej obecnie 150 państw (w konferencji założycielskiej udział brały — 44). Ścisłe kontakty z nią utrzymuje około 500 międzynarodowych organizacji pozarządowych.

W ciągu tych wielu lat organizacja poważnie zwiększyła zakres działania we wszystkich czterech podstawowych sferach podległych jej kompetencji: w dziedzinie oświaty, nauki, kultury oraz informacji masowej. Od chwili przystąpienia do UNESCO dziesięć państw wyzwoleń z ucisku kolonialnego, organizacja ta — z inicjatywy krajów socjalistycznych — zaczęła zajmować się palącymi i globalnymi problemami, przed jakimi stoi ludzkość. Wśród nich znalazły się tak zasadnicze zagadnienia jak zapobieganie totalnej katastrofie nuklearnej, okiełznanie wyścigu zbrojeń, rozpoczęcie procesu rozbrojenia, jako jedynej drogi ocalenia i rozwoju na szczytach cywilizacji.

Ale właśnie taka orientacja UNESCO w budziła niezadowolenie administracji waszyngtońskiej. Jeden z znanych europejskich komentatorów politycznych ujął tę sprawę następująco: „Właśnie dlatego, że w warunkach toczącej się na świecie wojny o umysły i serca ludzkie UNESCO dąży do wzajemnego zrozumienia, aktywnie wspiera koncepcję przebudowania międzynarodowych stosunków na zasadach demokratycznych, sprzyjając wykorzystaniu wartości duchowych dla dobra narodów i postępu, nie trudno zrozumieć, dlaczego jest ona solą w oku Ameryki, rządzonej przez ekipę Reagana”.

Jak wiadomo, USA uciekły się nawet do groźb i szantażu, próbując odzyskać kontrolę nad UNESCO, tzn. przywrócić stan z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Jednak Waszyngton zapewne zapomniał, że świat jest już dziś zupełnie inny. Tłumacząc przyczynę, dla której USA tak zajadłe zaatakowały UNESCO, paryska LIBERATION napisała: „UNESCO jest nawet ważniejsza od innych organizacji, ponieważ zajmując się problemem tożsamości kulturowej i praw narodów. Zarówno jedno i drugie działa na nerwy administracji amerykańskiej. Waszyngton więc szalał ciskając na UNESCO groźby i błyskawice. Z pomocą pośpieszył mu jednak jedynie brytyjscy toryści”.

Ostatnia XXIII sesja tej organizacji dowiodła, że mimo szkody, jaką USA i W. Brytania wyrządziły uniwersalizmowi i finansom UNESCO, organizacja ta zdala egzamin żywotności. Wszystkie główne kierunki działalności zostały zachowane. Potwierdzono wierność statutowi a także szlachetnym celom i ideałom organizacji.

Na czym skupia obecnie uwagę UNESCO? Przede wszystkim wiele uwagi — podobnie jak poprzednio — poświęca się pomocy krajom wyzwolonym, likwidacji spuścizny kolonializmu w sferze oświaty, nauki, kultury i informacji. Sesja sofijska postanowiła proklamować rok 1987 jako Międzynarodowy Rok Alfabetyzacji oraz opracować plan całkowitej likwidacji analfabetyzmu do roku 2000. O wadze tego problemu i jego globalnym charakterze świadczy fakt, że na świecie jest obecnie około 900 milionów analfabatów!

Popieranie współpracy międzynarodowej na polu oświaty UNESCO traktuje nie tylko jako poważny wkład do rozwoju krajów wyzwolonych, ale także jako okazję do wymiany najlepszych doświadczeń. W chwili obecnej UNESCO poświęca wiele uwagi inicjatywom zmierzającym do unowocześnienia oświaty poprzez wprowadzenie techniki obliczeniowej do szkół, wykorzystaniu łączności satelitarnej oraz innych zdobyczy nauki i techniki.

Specjalny program a także wiele publikacji, sympozjów i konferencji poświęconych jest wychowaniu w duchu pokoju i współpracy międzynarodowej. W bieżącym roku rozpoczęła się realizacja 10-letniego planu w tej dziedzinie. Istotną sprawą stało się nauczanie dyscyplin ekologicznych, wychowanie młodego pokolenia i dorosłych w duchu zrozumienia związków istniejących między człowiekiem a środowiskiem. W roku 1988 ma być proklamowana przez UNESCO Światowa Dekada Rozwoju Kultury. Dekada walki — o ocalenie i wzbogacenie ogólnoludzkiej kultury i cywilizacji. Oby te szlachetne cele — poświęcały również obradującej obecnie w Wiedniu konferencji KBWE!

MICHAŁ HOROWICZ

JAKIE CZASY — TAKI PROGRAM

MAM przed sobą „Program rozwoju kultury w województwie zielonogórskim — główne kierunki działania do 1990 r.”, uchwalony podczas sesji zielonogórskiej WRN. Co kilka lat rady narodowe uchwalają takie programy. Czy ktokolwiek rozlicza rady narodowe z realizacji swoich programów — nie wiem, ale chyba nie. Oto w tym najnowszym programie znowu jest mowa o tym, że w Zielonej Górze przystąpi się do budowy szkoły muzycznej z internatem i salą koncertową. Okręgowe Przedsiębiorstwo Rozpowszechniania Filmów ujęło w planie na lata 1987—90 budowę kina w Zielonej Górze, lecz zamierzenie to nie uzyskało akceptacji Ministerstwa Kultury i Sztuki. Jest to zdanie prawie dosłownie przepisane z „Programu” uchwalonego przez WRN. Zastanawiam się, czy kino będzie budowane, czy nie. Podobnie sprawa ma się z planowanym w Zielonej Górze kombinatem księgarskim, który ma

kosztować 200 mln zł. „Dom Książki” zgromadził 150 mln. „Realizacja przedsięwzięcia uzależniona jest praktycznie od pomocy finansowej Ministerstwa Kultury i Sztuki” — czytamy w „Programie”. Rozumiem, że projekt dokumentu powstał w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, że przygotowywali go fachow-

Z REGIONU

cy, ale nie rozumiem, dlaczego radni godzą się z urzędnikami. Nie podejrzewam radnych o to, by nie przejrzyli projektu „Programu”, choć podczas dyskusji nikt spośród radnych nie zabrał głosu w sprawie uchwalonego dokumentu. Nikt też nie zwrócił uwagi na to, że w „Programie” nie wspomina się o poligrafii, a przecież od 1945 r. znajdują się w Zielonej Górze zakłady graficzne, produkujące dla potrzeb m.in. wielkich wydawnictw krajowych. Ani w tym, ani w poprzednim „Programie” nie było mowy o tym, że w Zielonej Górze będą budowane prasowe zakłady graficzne, a te zakłady już powstają. Wygląda na to, że uchwalony „Program” nie

Zaodra

Związki zawodowe

Związki zawodowe odgrywają poważną rolę w życiu społecznym naszego zachodniego sąsiada. Organizują one ruch nowatorski i racjonalizatorski oraz przeszkadzają ludzi w związku z zmianami technologicznymi. Żaden program racjonalizatorski nie może być przyjęty bez zgody rady zakładowej. Ruch związkowy jest także promotorem socjalistycznego współzawodnictwa pracy.

Związki zawodowe pośredniczą też w sporach płacowych, sprawując kontrolę społeczną nad przestrzeganiem prawa pracy. W dużych zakładach przemysłowych, powiatach i okręgach działają komisje prawne Zrzeszenia Związków Zawodowych — FDGB. Jeżeli komisja prawna nie doprowadzi do załatwienia sporu, pracownik może zwrócić się do zakładowego sądu społecznego, którym jest wybieralna komisja do spraw konfliktów wynikających ze stosunku pracy. W ostatecznym przypadku sprawę rozstrzyga sąd powiatowy.

Związek zawodowy gwarantuje pracownikowi bezpłatną pomoc prawną, może on przyjąć na siebie obowiązki reprezentowania pracownika w sądzie (przewiduje to nowy kodeks pracy). W wypadku naruszenia socjalistycznej praworządności rada zakładowa może zażądać pociągnięcia winnych do odpowiedzialności. Dyrektorzy są obowiązani w przeciągu 2 tygodni zawiadomić radę zakładową, co w związku z danym faktem uczyniono lub z jakiego powodu sprawy nie załatwiono. W zależności od tego organizacja związkowa podejmuje ewentualnie dalsze kroki — leżące w interesie pracownika.

„Podstawy

automatyzacji”

— nowy przedmiot

w szkołach zawodowych

W większości działów gospodarki narodowej NRD komputery znalazły już prawo obywatelstwa. Opanowanie języka komputerów stało się nie tylko życzeniem młodzieży uczącej się, lecz również wyrazem potrzeb gospodarki. Z tego powodu od początku roku szkolnego 1986/1987 wprowadza się do wszystkich szkół zawodowych nowy przedmiot „Podstawy automatyzacji”. Równocześnie szkoły będą stopniowo wyposażane w „gabinety komputerowe”.

(Alfa)

„Moi polscy sąsiedzi”

Nakładem wydawnictwa „Neues Leben” ukazał się w NRD tom opowiadań pisma Very Friedlaender. Tytuł książki — „Moi polscy sąsiedzi”.

Autorka przez wiele lat przebywała w Polsce i związana była z Uniwersytetem Warszawskim. Swoje przeżycia i doświadczenia ubrała w formę literacką.

Dzieło Very Friedlaender technicznie żywnymi uczuciami przyjaźni wobec Polski i mieszkańców naszego kraju, którzy w ciągu lat byli jej sąsiadami, kolegami, przyjaciółmi. Autorka jest

szczerą w swoich wyrażeniach i nie skrywa krytycznych spostrzeżeń.

W sumie jest to obraz naszego kraju postrzegany przez zycielwego, ale uważnego zarazem przyjaciela.

(Alfa)

Profilaktyka

przeciwko AIDS

Stworzony w NRD system wykrywania i zwalczania AIDS okazał się właściwy — stwierdził na łamach gazety HUMANITAS przewodniczący grupy ekspertów ds. AIDS przy Ministerstwie Zdrowia NRD, dyrektor kliniki chorób skórnych szpitala „Charite” w Berlinie, prof. dr Nils Soennichsen. Do tej pory nie nastąpiło ani jedno zachorowanie, zaś nosiciele wirusa są bardzo nieliczni. Zdaniem prof. Soennichsena, nie istnieje w NRD grupa ryzyka składająca się z narkomanów. Rzecz jasna, określony procent mężczyzn uprawia homo — lub biseksualizm, lecz brak — tak zwanej „sceny homoseksualnej” krajów kapitalistycznych ze wszystkimi jej negatywnymi cechami. Za duże osiągnięcia w ramach profilaktyki AIDS uważa trzeba wcześniej wprowadzenie w NRD kontroli krwi pobieranej od każdego dawcy pod kątem obecności wirusa. Nastąpiło to o wiele wcześniej niż w krajach zachodnioeuropejskich, gdzie praktyka taka jest obecnie również obowiązująca — podkreślił prof. Soennichsen.

(x)

Ochrona zabytków

Ważne miejsce w życiu kulturalnym NRD zajmuje troska o dziedzictwo przeszłości. W tym celu powołano Narodową Radę do Spraw Ochrony i Krzewienia Narodowej Niemieckiej Spuścizny Kulturalnej. W kraju tym istnieje m.in. 300 zabytków uznanych przez UNESCO za obiekty o znaczeniu międzynarodowym. Ponad 640 muzeów zwiedzanych jest co roku przez 31 milionów osób.

(x)

ZaLaba

Zmiana generacji

— nie zmiana polityki

Takim tytułem jedno z wielkich pism zachodniemieckich podsumowało trwającą od miesięcy dyskusję wokół długotrwałego sporu pomiędzy czołowymi rewizjonistami, przewodniczącym „Związku Wypędzonych” i szefem „Górnoślązków” Herbertem Czają, oraz wiceprzewodniczącym „Związku Wypędzonych” i szefem Związku Ślązaków Herbertem Hupką a kierownictwem partii rządzącej CDU i jej przewodniczącym kanclerzem Kohlem. Zaczęło się od tego, że długoletnia kariera parlamentarna Hupki została zagrożona w związku z powierzeniem mu przez kierownictwo krajowe chadeckiej w Nadrenii dopiero dwudziestego drugiego, wręcz beznadziejnego, miejsca na liście krajowej kandydatów do nowego Bundestagu. Świadomo przegranej Hupka zrezygnował z takiej nominacji określając ją „poniżej godności”. Podobna sytuacja była z Czają, który początkowo w ogóle miał utracić miejsce na liście kandydatów na rzecz jednego z działaczy młodzieżowych partii, lecz po interwencji kanclerza otrzymał 12 miejsce w Badenii — Wiertembergii, niezbyt

jest dokumentem pełnym, dotyczy tylko tego, czym się zajmuje wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki.

Żyjemy w takim okresie, kiedy kultura traktowana jest przez społeczeństwo jako marginalna część życia codziennego, a nie sposób pracy i wzbogacenia siebie. Autorzy programu wyraźnie to sygnalizują, stawiając na rozwój nowoczesnych technik upowszechniania kultury. Dostrzegają jednak rolę książki i czytelnictwa, co ma się przejawiać w rozwoju sieci bibliotecznej. W najbliższych latach przybędzie 10 bibliotek miejskich i 14 wiejskich. Każdego roku księgozbiór wojewódzki będzie się powiększał o 150 tysięcy woluminów. Powstaną nowe księgarnie w Torzymiu, Wolstyńcu, Wymiarkach, Zarach, Zielonej Górze, Tuplicach lub Trzebielu, ale realizacja „tych zamierzeń uwarunkowana jest przede wszystkim przydziałem lokali przez administrację terenową”. W 20 miejscowościach będą remontowane domy kultury.

Zielona Góra posiada podstawowe instytucje artystyczne, powstania nowych nie planuje się. Teatr Lubuski otrzyma pomieszczenia dla potrzeb Sceny Lalkowej. Nie przybędzie nowych placówek muzealnych. Uruchomienie Muzeum Historii Miasta w Zielonej Górze przewidywane jest w

następnej pięcioletniej. Nie przybędą również miejsce wystawowe.

Dość znaczne środki zaplanowano na remont obiektów zabytkowych, których jest w województwie aż 1750. Planuje się odbudowę zamku plasterskiego w Krośnie, zakończenie prac konserwatorskich przy ratuszu w Gubinie, remont zamku w Zarach, 19 obiektów o największych walorach zabytkowych będzie wymagało nakładów z funduszu rozwoju kultury w wysokości blisko 700 mln zł. A będą kontynuowane już rozpoczęte prace.

Województwo posiada 48 kin, z tego tylko 3 w Zielonej Górze, co stawia miasto wśród najgorszych — 10 miejsce na 1000 mieszkańców (w kraju średnio 20 miejsc na 1000 mieszkańców).

Rosnąca cena usług, koszty utrzymania obiektów, płace pracowników, zaś nominalnie wzrastający fundusz rozwoju kultury praktycznie nie zapewnia finansowania podstawowych potrzeb kultury województwa. Wymaga to z jednej strony dofinansowywania kultury przez społeczeństwo, z drugiej — umiejętnego gospodarowania posiadanymi środkami.

„Program” jest skromny. Realizacja jego zależy nie tylko od administracji państwowej, lecz i od zakładów pracy, spółdzielców, organizacji społecznych, mieszkańców województwa.

AS

Okazuje się bowiem, że taka sama trująca substancja wytwarza się w zwłokach wkrótce po śmierci. Prawie niemożliwe było więc wykrycie zbrodni tą drogą. W innych przypadkach Roeder podawała upatrzonemu pacjentom po zawale serca środki silnie obniżające ciśnienie. To również zabezpieczało ją przed zdemaskowaniem. Po aresztowaniu zbrodniarka przyznała się do uśmiercenia tymi sposobami sześciu pacjentów. Jednakże policja podejrzewała ją o zamordowanie 33 podopiecznych.

Pytana przez prokuratora o motyw swego postępowania tłumaczyła się, że czyniła to z litości do chorych. Młodzi pielęgniarki twierdzą jednak, że prawda jest bardziej prozaiczna. „Po prostu chciała uwolnić się od pacjentów, którzy naprzykrzali się jej ciągłymi prośbami”. Pikanterii całej historii dodaje fakt, że w stan oskarżenia postawiono również lekarza, którą to Michaelę Roeder naprzykrzały nie tylko stosunki służbowe lecz również intymne.

(Alfa)

Spostrzeżenia Hupki

o przesiedleńcach

Deputowany CDU do Bundestagu, Herbert Hupka, przewodniczący grupy roboczej do spraw przesiedleńców we frakcji parlamentarnej CDU/CSU, oświadczył, że 80 proc. przesiedleńców przybywających na stałe do RFN ze Wschodu nie zna już dostatecznie języka niemieckiego. Tłumaczy on to polityką „wynaradawiania”, uprawianą od dziesięcioleci świadomie i systematycznie. Dalszą przyczyną niedostatecznej znajomości języka są małżeństwa mieszane. W przypadku przybyszów „z obszaru polskiego” zjawisko to dotyczy 35 proc. wszystkich przesiedleńców. Najlepiej mówią po niemiecku przybysze z Rumunii. Hupka opowiedział się za przedłużeniem kursów językowych z obecných 8 do 12 miesięcy, jak to było już dawniej. Środki przeznaczone na ten cel przez Bonn trzeba zwiększyć z 220 mln do 290 mln DM rocznie.

(x)

Neonaziści

w Dolnej Saksonii

Z raportu przedstawionego niedawno przez krajowy urząd ochrony konstytucji w Dolnej Saksonii wynika, że o ile liczba członków ekstremistycznych organizacji lewicowych w tym regionie spada, to zwiększa się liczba członków grup neonazistowskich. Do nosański minister spraw wewnętrznych, Egbert Moecklinghoff (CDU), wyraził szczególne zaniepokojenie rozwojem działalności „Wolnościowej Niemieckiej Partii Pracy” (FAP), która w coraz większym stopniu infiltruje i opanowuje neonazistów. Moecklinghoff wypowiedział się jednak przeciwko zdelegalizowaniu FAP i dodał, że podobnie jak i w innych przypadkach w przeszłości partia ta będzie „bacznie obserwowana”.

(x)

Dwadzieścia pięć lat temu, decyzją Zarządu Głównego ZLP został w Zielonej Górze utworzony oddział Związku Literatów Polskich. Była to nobilitacja środowiska, które miało już w swoim dorobku kilkanaście wartościowych pozycji książkowych z dziedziny prozy artystycznej, poezji oraz literatury wspomnieniowej i dokumentalnej. Był to zarazem doniosły fakt o znaczeniu społecznym i politycznym, uwiarygodniający dorobek kulturalny lubuskiej społeczności, która powróciła na prastare ziemie piastowskie.

Z okazji jubileuszu zielonogórskiego oddziału ZLP, zrzeszającego twórców zamieszkałych również w Gorzowskim, publikujemy fragmenty wypowiedzi pisarzy i krytyków, dotyczące lubuskiego środowiska literackiego.

Jarosław Iwaszkiewicz:

Nie wiem, czy mogę dodać coś jeszcze do tych słów, które były powiedziane przed chwilą i które będą powiedziane w szczególnych referatach o roli tego młodego oddziału Związku Literatów, do niedawna najmłodszego na tego dziejczyca. (...) Natomiast chciałbym w dwóch słowach powiedzieć to, co się dzieje tutaj w województwie zielonogórskim w oddziale literatów zielonogórskich. Jest on częścią tego, co się dzieje w całym naszym kraju i jest oznaką tej ciągłej stałej, wytrwałej pracy pisarzy, działaczy kulturalnych, którzy całym sercem i całym wysiłkiem dążą do tego, aby w Polsce było lepiej, piękniej, przestronniej, jaśniej.

To jest inna warsztat, ale ten warsztat jest częścią tego wielkiego warsztatu naszej pracy kulturalnej. (...) Chciałbym więc podkreślić znaczenie tej pracy, która się dokonuje w małych środowiskach, powiedzcie i zapewnić, że praca ta nie idzie na marne, że praca ta jest widziana, że jest dotykana nie odczuwana w całym kraju i dla jej dnej matki pracujemy w naszym rozu mieniu, jak można najlepiej i najszybciej.

Z wypowiedzi prezesa Związku Literatów Polskich na seminarium z okazji V-lecia zielonogórskiego Oddziału ZLP

Wilhelm Szewczyk:

Powstanie środowiska literackiego w Zielonej Górze, w mieście pozbawionym zaplecza intelektualnego, zmuszonego do wytworzenia własnych form życia duchowego, w oparciu o sprawnie funkcjonujący organizm społeczny, po wstanie tego środowiska i jego dalszy rozwój stworzyło całkiem nową sytuację na Ziemiach Zachodnich, wypełni-

mi. Przecistawiane ideały, ideał przedmiotowości, ideał pojęciowości, ideał magmy nieokreślonej, tutaj także się odbijają. A jednak pomimo to można mówić o samodzielności poetów zielonogórskich. Te ogólne tendencje bowiem przybierają tutaj własne kształty. (...) Obraz poezji powstającej na tym obszarze jest zróżnicowany. Żyją i tworzą tutaj poeci wzajemnie niepodobni, reprezentujący różne orientacje artystyczne, od wtórnego przebrzmiałego sentymentalizmu do śmiałych prób z trywizmem poetyckim. Jedno z pewnością

próbuję swoich sił w twórczości literackiej. (...) A trzeba przecież pamiętać, że ambicje kulturotwórcze Ziemi Lubuskiej są ogromne i nie potrzebują się nad tym szerzej rozwodzić.

Określenie „miasta, miasteczka i wsi” nie jest tu żadnym zwrotem konwencyjnym. Z rozmaitymi inicjatywami kulturalnymi spotkać się można

Witold Nawrocki:

Integracja Ziemi Zachodnich z polskim organizmem społecznym-gospodarczym jest faktem i jest, w tym udział — ważny i niemały — literatury i piśmiennictwa. Zachodnie życie kulturalne ogarnia dzisiaj jedną trzecią Polski i decyduje o jego ogólnonarodowym rozwoju. Na zachód przesunęły się ośrodki kulturalne kraju i dziś mamy już do czynienia z nierównowagami rozwojowymi w Polsce środkowej i wschodniej. Kultura symboliczna rozwija się tutaj w całym różnorodnym bogactwie, ale jeśli ją cokolwiek różni od tego co dzieje się w ogólnonarodowym życiu kulturalnym, to z tamtych pionierskich pierwszych lat zachowane przeświadczenie o tym, że przed pisarzem i artystą staną mogą jeszcze inne problemy niż „rzemiosło”, zadania o szerokim kulturotwórczym wymiarze, będące kwestią sumienia, odpowiedzialności i ambicji. O tym jakby lepiej się pamięta w Opolu i Wrocławiu, Zielonej Górze i Szczecinie, Koszalinie i Słupsku, Gdańsku i Olsztynie, choć dzisiaj zadania przed każdym pisarzem i każdym artystą są w kraju jednakże. Ale tu ciągle odczuwa się silnie jakby w bezpośrednim związku z czasem kiedy kładziono fundamenty pod nasz wspólny dom nad Odrą i Bałtykiem.

(Fragment szkicu „Polska powstała ku Odry” opubl. „Kultura” nr 42 z 15.X.1988 r.)

Wybór: ZENON ŁUKASZEWICZ

CZĄSTKA WIELKIEGO WARSZTATU

łączy te odmienne postawy — zafascynowanie konkretem, realnością świata. Poeci zielonogórskiego obszaru nie omijają konkretnych rzeczy, realności — tak czy inaczej do nich się ustosunkowują. Ażby jednak ukazać prawidłowo poezję obszaru zielonogórskiego, trzeba mówić przede wszystkim o poetach, którzy na tym obszarze tworzą.

(Fragment wypowiedzi pt. „Poeci zielonogórscy”, publ. w „Zeszytach Lubuskich” nr 4, „Literatura na Ziemi Lubuskiej”, LTK 1982 r.)

Henryk Bereza:

Imponujące życie kulturalne Ziemi Lubuskiej wyzwala samodzielne ambicje twórcze. Bez mała pół setki ludzi

nie tylko w głównych ośrodkach województwa zielonogórskiego. Adepti sztuki literackiej wywodzą się również z najrozmaitszych miejscowości. (...) Wyda mi się jednak, że kultury regionalnej nie można tworzyć w sposób sztuczny. Byłoby to w warunkach współczesnych czysty anachronizm. Skoro tak, to pojęcie literatury zielonogórskiej nie może znaczyć nic innego jak to, że jest to polska literatura ogólnonarodowa tworzona przez pisarzy polskich, żyjących na tym terenie. (...) Im ambitniejsza i bogatsza będzie ich twórczość, tym większy będzie udział tej ziemi we współwzrostie wartości polskiej kultury narodowej.

(Fragment szkicu „Proza autorów zielonogórskich” z książki pt. „Prozaiczne początki”, Czytelnik W-wa 1971 r.)

ło żywą treścią duchową wielki ich czołowiek z ruchliwymi pomostami na południe, północ i zachód. Fakt ten ma swoje znaczenie polityczne i kulturalne. Ma on znaczenie dla samego życia literackiego w naszym kraju, biorąc pod uwagę sumę ujawnionych tu talentów. Ma on znaczenie polityczne we wnętrzu i na zewnątrz naszego kraju. Chcę raz jeszcze przypomnieć znany chyba wszystkim fakt, że w czasach niemieckich nigdy Zielona Góra nie posiadała swojego wielkiego znaczenia kulturalnego, jej regionalni zaś pisarze nie mogli się nawet upomnieć o uznanie w metropolitalnym wobec Zielonej Góry Wrocławiu. (...) Dynamikę rozwoju temu regionowi dała dopiero Polska Ludowa. Ta dynamika ogarnęła wszystkie dziedziny życia, a więc i życie kulturalne, intelektualne, artystyczne. Literaci, zrzeszeni w miejscowym Związku Literatów Polskich, a także młodzi adepci pióra, którzy korzystają z ich pomocy — przyczynili się do tego, że dynamika ta zyskała ogólnie uznaną rangę w hierarchii naszych prac i zamierzeń.

(Fragment szkicu pt. „Zielonogórskie środowisko literackie na tle rozwoju literackiego Nadodrza”, Rocznik Lubuski nr 3, 1982 r.)

Zbigniew Bienkowski:

Zielonogórski obszar poezji tym się różni od innych, że uformował się samodzielnie. Nie przybyło tutaj, jak kiedyś do Wrocławia czy Szczecina, gotowe środowisko, wokół którego skupiło się życie artystyczne. Środowisko zielonogórskie kielkowało, wzrastało i fermentowało samodzielnie. Nie chcę przez to powiedzieć, że samo sobie wystarczy. Jak mowa polska długa i szeroka, wszędzie, tu czy gdzie indziej, odbijają się wszystkie wzorce poezji uformowane przez współczesność. Poeci zielonogórscy są także zarażeni czy porażeni ogólnie panującymi tendencjami



Prezydium XIII Zjazdu Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych w Zielonej Górze (1970 r.). Od lewej: Gerard Górnicki, Stanisław Fleszarowicz — Muskat, Jarosław Iwaszkiewicz, Bolesław Soliński, Ryszard Hajduk i Wilhelm Szewczyk.

Fot. JANUSZ ŁOMSKI

Przyjeżdżali z różnych stron: z Wielkopolski, ze Śląska, z kresów wschodnich. Niejednokrotnie nawet nie przypuszczając, że tu przyjdzie im zapisywać „białą plamę” na literacko-kulturalnej mapie Polski. Ze tej części Polski — trzeba to na początku powiedzieć — będą poświęcać swój talent, swój wolny czas, po wypełnieniu etatowych obowiązków, najpierw oni, a później ich pokoleniowi następcy.

Pierwszym sygnałem, iż mamy do czynienia z rodzącym się życiem literackim na Ziemi Lubuskiej, było zawiązanie się Sekcji Literackiej przy ZW ZMP w Zielonej Górze w 1954 roku. Grupie przewodniczył Tadeusz Jasiński. Swoje wiersze i przekłady, czy inne jeszcze nazywając: pierwsze próby, drukowali w piśmie „Głos Młodych” a także w „Gazecie Zielonogórskiej”. W rok później ukazała się jednodniówka „Ziemia Lubuska”, która stanowiła świadectwo, że młodzi mają ambicję i są w stanie wydawać regularne pismo.

Spełnienie tych pragnień przynosiło w pewnej mierze rok 1957. Otóż 6 lipca 1957 powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury, które następnie sfinansowało kilka wydań specjalnych „Nadodrza”, podjęło działalność wydawniczą, a także otoczyło opieką, najpierw Sekcję Literacką, a później Klub Literacki. Co istotne, we władzach LTK znaleźli się wszyscy wybijający się twórcy. Tu należy upatrywać źródeł żywotności tamtego okresu. W rezultacie literacko-kulturalnej działalności z członków Klubu Literackiego wyłonił się Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.

Powołanie Oddziału stanowiło zarazem ukoronowanie nie tylko kilkuletniej pracy środowiska, o którego istnieniu zdecydował nie import utalentowanych pisarzy — „mistrzów” (brak wydawnictwa działał odstraszająco dla każdej indywidualności), ale potrafiło ono wyzwolić z siebie, oczywiście przy określonych, sprzyjających warunkach, twórczą energię, wolę wspólnej pracy. Model pisarza — działacza okazał się rze rzeczywistości — powtórzyliśmy za Wałkiewiczem — funkcjonalny. Program organizatorski przyniósł otwarcie Oddziału. Zadanie zostało wykonane.

W piśmie ZG ZLP skierowanym do Zarządu Klubu Literackiego czytamy: „Plenum Zarządu Głównego ZLP w dniu 13 X 1961 r. uchwałą swoją powołało do życia Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.

Członkami tego Oddziału są następujący Koledzy: Tadeusz Kajana, Janusz Koniusz, Włodzimierz Korsak, Zdzisław Morawski, Bolesław Soliński i Eugeniusz Wachowiak”.

Literacka obecność

Czesław Sobkowiak

Zbigniew Ryndak i obecnie (ponownie) Janusz Koniusz.

Nie dotarłem do zdjęć z owej uroczystości, zapewne ktoś takowe posiada, ale z prasowych notatek, relacji można wyczytać ogromną satysfakcję i radość, nie tylko środowiska literackiego, ale całej sfery miejscowej kultury.

„W Gazecie Zielonogórskiej” z tamtych dni czytamy: „Doczekaliśmy się otwarcia Oddziału Literatów Polskich (...) Ani się obejrzelismy, jak grupa młodych literatów przekroczyła wstępną klasę Klubu ZLP wyrosła poza jego ramy”. Są to już czasy zamierzchłe, na zdjęciach w „Gazecie” widnieją młodziutki twarze, biograficzne sylwetki odnotowują pierwsze książki.

Pierwszą książką literacką — „Pieśni Papusza” wydała w wydawnictwie Ossolineum w roku 1956 Bronisława Wajs-Papusza. Poetkę odkrył Jerzy Ficowski. Korespondował z nią Julian Tuwim, wysoko ocenił Julian Przyboś. W owym czasie poza cygańską poetką jedynie Korsak posiadał spory, z okresu przedwojennego, piśmiski dorobek. Natomiast pozostali, dzisiaj już okrzepi, twórcy zaledwie wkroczyli na drogę artystycznego opisywania świata.

Pierwszym sprawdzianem środowiskowych możliwości był zbiorowy tomik poetycki „Miniatury” (1958), a następnie almanach „Kartki wyobra-

ni” (1959). W serii LTK ukazały się pierwsze arkusze indywidualne: Solińskiego, Suzanowicza, Szyłkina. W latach późniejszych LTK wydało debiutankie tomiki w zasadzie niemal wszystkim lubuskim literatom. Trzeba dodać, by nie ominiąć specyfiki środowiska, że tyleż samo co poezja, znać tu była, zwłaszcza we wczesnym okresie, publicystyka kulturalno-społeczna i polityczna — przede wszystkim Tadeusza Kajana, dotycząca spraw niemieckich i Wiesława Sautera, oddającego swe pióro problematyce polskiej Ziemi Babimojskiej, jak i kształtowaniu procesów kulturowych w regionie.

Lata sześćdziesiąte stoją pod znakiem debiutów prozatorskich. Irena Dowgielewicz wydała w 1962 roku tom opowiadań „Lepszy obiad”. Koniusz „Wakacje z Julią” (1964), Morawski „Kwartal bohaterów”, Trziszka „Wielkie świętobicie” (1965), Ryndak „Góry i doliny” (1966). Jeśli poezja i publicystyka zrodziła środowisko lubuskie, to proza nadała mu rangę w skali ogólnopolskiej. Irena Dowgielewicz nie przypadkowo właśnie za dorobek głównie prozatorski została uhonorowana w 1971 Nagrodą Ministra Kultury i Sztuki.

Jednak lata sześćdziesiąte — to nie tylko nowe książki i nowi członkowie Oddziału (Bronisława Wajs-Papusza — w opinii Ficowskiego „pierwsza w świecie poetka cygańska”, Wiesław Sauter, Henryk Szyłkin), ale, co uważam za najważniejsze, wejście w sferę miejscowego życia literackiego „drugiej zmiany poetów” (termin Wałkiewicza): W. Czerniawskiego, M. Kuźel, Cz. Czyży, G. Łapszyskiego, A. Tokarskiej, Cz. Sobkowiaka, M. Warzawskiego, A.K. Wałkiewicza, W. wierszach młodych poetów istotny stał się czynnik wyobraźniowo-intelektualny. Symptomatyczna stała się też dążność do zrywania z myśleniem o literaturze, o modelu pisarza, w kategoriach prowincjonalnych. Być może tak była naturalna kolej rzeczy, wynik wzrostu świadomości, w okresie „po-organiczniowskim”.

Z perspektywy lat trzeba jednak stwierdzić, że chociaż raz po raz dochodziło do prób szerszych dyskusji, to nigdy nie zaowocowały one większymi efektami. Andrzej Czarkowski wskazywał już w 1962 roku na niebezpieczeństwa stabilizacji. Morawski protestował przeciw pisaniu o kilku włoskach, przeciw zajmowaniu się regionem przy braku optyki ogólnopolskiej, przeciw minimalizmowi poznawczemu. Wałkiewicz domagał się oryginalności artystycznej. Ale te dyskusje niczego nie zmieniły. Grono dyskutantów (nieliczne) za każdym razem było w zasadzie takie same. Toteż ranga tego środowiska — trzeba to otwarcie powiedzieć — z biegiem lat, niestety, sukcesywnie obniżała się. Tak dalece, że z głosem pisarzy, z ich potrzebami, gorzka to prawda, przestano się liczyć. Myślę, że tu również należy upatrywać źródeł emigracji niektórych pisarzy lubuskich. Ulegało deprecjacji, nie gdyś brzmiało jako bardzo pozytywny wyróżnik, pojęcie „pisarz lubuski” (główny był tzw. „eksperyment zielonogórski”). Oczywiście, przyczyny, jak zawsze, nie są jednorodnej natury, mają wiele źródeł. Tkwią być może również w wypalaniu się zapala i jednolici „mistrzów”. Klimat i atmosfera wokół życia literackiego też pozostawała nie bez znaczenia. To z kolei od bić się musiało na niekiedy aktywności młodego środowiska, a w pewnym momencie wręcz jej braku.

Potwierdza się stara prawda, iż o literaturze, o znaczeniu środowiska decydują indywidualności. Toteż chciałbym powiedzieć, a myślę, że to obiektywnie prawdziwe, że to nieliczne w końcu lubuskie środowisko, nie jest jednak pozbawione wyrazu. Wśród zaledwie kilkunastu pisarzy można bez wahania wskazać indywidualności o nieprzeciętnych horyzontach i znaczeniu.

Tak na przykład działalność krytyczno-literacką Andrzeja K. Wałkiewicza, obecnego przez wiele lat w zielonogórskim środowisku, bardzo wcześnie wykraczała poza regionalną problematykę. Należy Wałkiewicz do grona najwybitniejszych krytyków polskich. Dodam, że krytyka literacką zajmuje się: Z. Łukasiewicz, M. Kaziów, Cz. Markiewicz.

Niezwykłą jest postać Michała Kazio-wa, jednego z najwybitniejszych znawców sztuki radiowej w Polsce. Dzięki pomocy Haliny Lubicz i niepojętemu samozaparcu obronił pracę doktorską pt. „Z zagadnień oryginalnego słuchowiska” (1972). Napisał głośną książkę autobiograficzną „Gdy moim oczom”, a także pionierską pracę „Postać niewidomego w oczach poetów”.

Myślę, że zasługuje też na przypomnienie fakt, iż nakładem LTK Eugeniusz Wachowiak wydał pierwszą w Polsce antologię poetów NRD „Dopóki serce bije” (1965).

Do tego wszystkiego trzeba dodać, że środowisko było organizatorem wielu imprez: VI i XIII Zjazdów Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych (1963, 1970), sesji literackich z okazji XX-lecia i 40-lecia PRL, Dni Literatury Rodzimej (od 1974), że przyjeżdżali tu pełni życiowości: Iwaszkiewicz, Przyboś, Karpowicz, Bereza, Bienkowski, Fornalczyk, Pauksztal, Prorok, Kozioł i inni. Autorzy lubuscy uprawiają wszystkie gatunki literackie: od felietonu począwszy, a na utworze dramatycznym skończywszy. Książki publikują ogólnopolskie wydawnictwa. Niektóre utwory zostały przełożone na języki obce.

W chwili obecnej lubuskie środowisko tworzą już różne generacje pisarzy. Obok starszych kolegów pojawiły się silne osobowości pisarzy młodego pokolenia, takich jak: Wojciech Czerniawski, Mięczyński J. Warszawski, Zbigniew M. Jelinek, Alfred Siatecki, Waldemar Mystkowski. O niektórych z nich (Czerniawski, Warszawski) napisano już wiele wnikliwych recenzji i artykułów. Można też wskazać, że duże zasługi w popularyzacji poezji i kręceniu młodych osobowości ma Czesław Markiewicz — również poeta, prozaik. Wymienieni wyżej autorzy są jednocześnie osobowościami ciągle rozwijającymi się. Coraz pełniej urealniali się ich wizje artystyczne.

Z nadzieją trzeba też myśleć i o najmłodszych, czyli o debiutantach serii LTK: Dorocie Muszyńskiej, Ryszardzie Janoczku, Annie Kwapińskiej, Kamilce Kucharskiej, jak i o członkach powstałego 18 września 1986 Klubu Literackiego.

Życie bez sztuki, bez literatury byłoby ubogie. Dlatego wierzę, że tworzenie pięknych zdań nie będzie tu nigdy bezcelowe.

ska w historycznych granicach przed-
rozbiorowych, byłaby u progu XX wie-
ku dziwolągiem, równie energicznie
odrzucała zasadę etnograficzną, jako me-
chaniczną i niezgodną z indywidualnością
narodową. „Fakt urodzenia się lub
zamieszkiwania na pewnym terytorium
i pochodzenia plemiennego nie może
decydować nie tylko o narodowości ty-
sięcy i milionów ludzi, ale nawet po-
jędynczych osób. Wiek współnego ży-
cia politycznego, wspólność kultury
duchowej i materialnej, wspólność in-
teresów itd. więcej znaczą niż wspól-
ność pochodzenia, lub nawet języka” —
pisał. Nie trudno zgadnąć, że taki po-
gląd miał bezpośrednie odniesienia do

nich poglądów politycznych. Zadecydo-
wało o tym wiele czynników.

Dmowski z niepokojem obserwował
zachowanie się równowagi europejskiej
na korzyść Niemiec. Wyniki wojny ro-
syjsko-japońskiej oraz wybuch rewolu-
cji 1905 r. w Rosji wraz z nasileniem
się ruchów separatystycznych w im-
perium Romanowów kazały mu dostrzec
narastającą słabość caratu. Prowadziło
to do konkluzji, że to właśnie Niemcy
stanowią „najpotężniejsze, jedyne zdol-
ne dziś do rozpoczęcia polityki państwa
kontynentu europejskiego”. Pisał zatem,
że to właśnie „Niemcy są naszym nie-
przejednanym wrogiem. Stojmy im na
drodę w ten sposób, że nie ma między
nimi i nami kompromisu”. Pogląd ten
rozwinął w głośnej książce pt. „Niemcy,
Rosja i kwestia polska”. Nie oznacza-
ło to, iżby Rosja w przekonaniu Dmow-

znacznie większe. „Jedynie Niemcy —
pisał — rosną stale w potęgę, tym więk-
szą wobec osłabienia sąsiadów. Onetęż
niezawodnie będą wywierać, a może
już wywierają, najcięższy wpływ na
losy narodu polskiego i na dalszy roz-
wój kwestii polskiej”. Stanowisko
Dmowskiego oznaczało nie tyle sformu-
lowanie nowej koncepcji geopolitycz-
nej, ile — jak zauważa znawca tych
kwestii Roman Wapiński — było wybo-
rem między mniejszym i większym
złem, wyborem pomiędzy dwoma wro-
gami, który wydawał się bardziej
niebezpieczny, bo silniejszy. Nie bez
znaczenia dla tego stanowiska było też
przeświadczenie Dmowskiego o zainte-
resowaniu polskich klas posiadających
Rosją jako obszarem realizacji ich in-
teresów ekonomicznych.

Dmowski w zasadzie dopiero w cza-
sie I wojny światowej sprzeciwiał pro-
gram terytorialny przysięgi Polski.
Autorem koncepcji narodowej demo-
kracji w tym zakresie był przede wszy-
stkim Jan Ludwik Popławski. Jego zda-
niem w granicach Polski znaleźć się
powinny następujące obszary: Królest-
wo Polskie, Galicja, Śląsk Cieszyński,
Górny Śląsk, Wielkopolska, Pomorze
Gdańskie, Warmia i Mazury. Dmowski
wypowiadał się wprawdzie w podob-
nym duchu, ale nie miało to waloru ja-
kiegoś konkretnego programu. Dopiero
w końcowym okresie wojny program
taki zaczyna zresztą w działalności
Dmowskiego odgrywać znaczącą rolę,
gdy podejmuje on wysiłki na rzecz zje-
dnania rządów państw Ententy dla kon-
ceptu odbudowy państwa polskiego w
ściśle określonym kształcie terytorial-
nym.

Stanowisko Dmowskiego jako przy-
wódce obozu narodowo-demokratycz-
nego, a zarazem głównego reprezen-
tanta nurtu prokalickiego w polskim
życiu politycznym, zawarte zostało prze-
de wszystkim w memorandum złożo-
nym angielskiemu ministrowi spraw za-
granicznych Arthurowi Balfourowi w
marcu 1917 r. Dmowski wskazał tam,
iż odbudowana Polska „musi przyczyni-
ać się do utrzymania równowagi eu-
ropejskiej, do czego konieczne są wa-
runki następujące: 1/ musi ono być
dostatecznie duże i silne; 2/ musi po-
siadać warunki gospodarczej niezawis-
łości od Niemiec, z których najgłównie-
jszymi są dostępy do morza oraz po-
siadać bogate źródła surowców i
węgiel, położonych na obszarze naro-
dowym polskim (...); 3/ musi to być pań-
stwo suwerenne ze swą własną polity-
ką zewnętrzną, aby mogło działać
na rzecz organizacji narodowości Euro-
py Środkowej i ich wyzwolenia spod

niemieckiego wpływu”. Zdaniem Dmow-
skiego, aby państwo polskie mogło speł-
nić te warunki musiało objąć swymi
graniami: 1/ Polskę austriacką —
Galicję i połowę Śląska austriackiego
(Cieszyn); 2/ Polskę rosyjską — Kró-
lestwo Polskie oraz gubernie: ko-
wienską, wileńską, grodzieńską, część
mińską i Wołynia; 3/ Polskę niemiec-
ką — historyczne ziemie: Poznańskie i
Prusy Zachodnie z Gdańskiem, następ-
nie Górny Śląsk i południowy pas Prus
Wschodnich”. Program ten zyskał się
nazywać inkorporacyjnym z racji bez-
pośredniego włączenia do polskiego ob-
szaru państwowego etnicznie niepo-
lskich ziem na wschodzie. O ile realizm
polityczny uznający słabość polskich po-
zycji w skali międzynarodowej naka-
zywały Dmowskiemu ograniczyć się na
zachodzie do ziem etnograficznie pol-
skich, to na wschodzie nacjonalistycz-
ne aspiracje nie były tak krępowane.
Jedynym poważnym ograniczeniem była
tam niechęć do uczynienia z Polski pań-
stwa wielonarodowego, w którym Po-
lacy nie byłiby hegemonem, a szanse
asymilacji narodowej mniejszości były-
by nikłe. Dmowski domagał się zatem
przyłączenia tych ziem na wschodzie,
które „należą bezspornie do sfery
wpływu polskich” z uwagi na polski
dobrek kulturalny i przeszłość histo-
ryczną. Równocześnie na zachodzie prze-
kroczenie granic przedrozbiorowych uza-
sadniał odrodzeniem się tam, mimo
prześladowań germanizacyjnych, pocz-
ucia narodowego na skalę dowodnie
wskazującą charakter tych ziem.

Program Dmowskiego, ujawniony w
całej rozciągłości po obaleniu caratu,
był bez wątpienia konsekwentnie an-
tyniemiecki, w tym sensie, że zmierzał
do obalenia hegemonii niemieckiej w
Europie Środkowej. To właśnie odro-
dzenia Polska przez włączenie na zach-
odzie wszystkich ziem etnograficznych
miała stać się zapórą przeciw wpły-
wom niemieckim i czynnikiem równo-
wagi na kontynencie w sojuszu z Fran-
cją. W stosunku do Rosji Dmowski nie
obałował się konfliktu na tle ziem ukra-
ińskich i białoruskich, będąc przekon-
nym, że rewolucja wykluczyła to pań-
stwo z grona mocarstw i pchnęła je w
otchłań długotrwałego wewnętrznego
zamętu, wykluczającego aktywną po-
litykę wobec Polski. Program ten łączył
zatem trafne rozpoznanie roli i charak-
teru polityki niemieckiej z błędną oce-
ną Rosji i perspektywy stosunków pol-
sko-rosyjskich.

Zachodni program Dmowskiego i na-
rodowej demokracji zakładał poparcie
dla polskich postulatów ze strony
państw Ententy. Dmowski z całą ostro-

ścią zdawał sobie sprawę z niemoż-
ności przeformowania go wbrew woli
mocarstw zachodnich. Dlatego też, gdy
decyzje wersalskie przyniosły tylko czę-
ściową jego realizację, uznał je za
krzywdzące wprawdzie dla Polski, ale
nie podlegające zmianie w drodze choć-
by samodzielnej akcji polskiej. Zdawał
sobie doskonale sprawę, iż konfronta-
cja z Niemcami wbrew woli Ententy by-
łaby dla Polski zgubna w skutkach.
Uznanie jednak decyzji wersalskich oraz
rozstrzygnięcie jakie przyniosły plebiscy-
ty na Śląsku oraz na Warmii i Mazu-
rach, nie oznaczało ani dla Dmowskie-
go, ani w ogóle dla narodowych de-
mokratów rezygnacji z koncepcji wy-
kraczających poza wytyczone granice,
choć odrzucono możliwość rewizji gra-
nic jako celu bieżącej polityki. Prze-
ciwnie — endecja z Dmowskim na cze-
le należała do tych sił politycznych,
które w okresie międzywojennym opo-
wiewały się za utrzymaniem terytorial-
nego status quo, co zresztą w istocie
miało charakter obrony przed re-
wozjonizmem niemieckim i wyrażało
polską rację stanu. Zarazem jednak
opowiadano się za intensyfikacją wy-
siłków na rzecz utrwalenia polskiego
stanu posiadania duchowego i material-
nego poza granicami zachodnimi. Stąd
brało się szczególne zainteresowanie
działalnością Polaków w Niemczech, a
zarazem wielkie wyczucie na wszelkie
poczynania niemieckie ograniczające
tę działalność, zagrażające narodo-
wemu życiu polskiemu i polskim in-
teresom państwowym na zachodzie. I jak-
by nie patrzeć na ideologiczne podsta-
wy tej polityki, a w szczególności na
swoistą fascynację endecji i samego
Dmowskiego ruchem nazistowskim,
głównie z racji jego nacjonalistycznego
i totalitarnego charakteru, to trudno
zaprzeczyć, że wyraźnie dostrzegano
zarazem jego antypolskie oblicze pła-
nujące stać się zapórą przeciw wpły-
wom niemieckim i czynnikiem równo-
wagi na kontynencie w sojuszu z Fran-
cją. W stosunku do Rosji Dmowski nie
obałował się konfliktu na tle ziem ukra-
ińskich i białoruskich, będąc przekon-
nym, że rewolucja wykluczyła to pań-
stwo z grona mocarstw i pchnęła je w
otchłań długotrwałego wewnętrznego
zamętu, wykluczającego aktywną po-
litykę wobec Polski. Program ten łączył
zatem trafne rozpoznanie roli i charak-
teru polityki niemieckiej z błędną oce-
ną Rosji i perspektywy stosunków pol-
sko-rosyjskich.

STANISŁAW CIESIELSKI

ROMAN DMOWSKI

sytuacji na ziemiach wschodnich. W tym
zresztą zakresie był swego rodzaju kom-
promisem między ortodoksyjnym nacjo-
nalizmem nowoczesnym, nakazującym
zachować ostrożność przy obarczaniu pań-
stwa zbyt wielką liczbą elementów obcego
narodowościowo, a nacjonalizmem kon-
serwatywnym, skłaniającym się do pojmo-
wania narodu jako ogółu mieszkańców
państwa. Niewątpliwie na Dmowskim
ciążyła cała tradycja historyczna i fak-
tyczny brak możliwości wyrzeczenia się
historycznych aspiracji terytorialnych
pod groźbą politycznego samobójstwa.
Dmowski w pierwszym okresie swej
politycznej aktywności znajdował się
zresztą wyraźnie pod przemożnym wpły-
wem tradycji postawy przede wszyst-
kim antyrosyjskiej, utożsamianej z nie-
podległością. Nie on, lecz inny ideolog
narodowej demokracji, dziś w potocz-
nej świadomości niemal nieobecny —
Jan Ludwik Popławski sformułował w
tym okresie podstawy zachodniego pro-
gramu narodowej demokracji. To właś-
nie Popławski z odzyskania polskich
ziem etnicznych i historycznych na za-
chodzie uczynił aksjomat odrodzenia
i utrwalenia polskiego bytu państwo-
wego. Dmowski dopiero później, w po-
łowie pierwszej dekady XX wieku,
włączył tę koncepcję do systemu włas-

skiego nie była wrogiem Polski. Ale
nie byli to w danym momencie prze-
ciwnicy równie niebezpieczni. Najpła-
darniej postawę Dmowskiego scharak-
teryzował inny wybitny narodowy de-
mokrata Bernard Chrzanowski, wska-
zując, że uważał on Rosję „za wpraw-
dzie więcej barbarzyńskiego, lecz o wie-
le mniej niebezpiecznego wroga niż
Prusy, czy Niemcy”. To zadecydowało
prawdopodobnie o tym, iż Dmowski,
dotąd opierający się uznaniu pierwszo-
planowej roli frontu antyniemieckiego,
teraz stał się jego ośrodkiem, choć
nie było to równoznaczne z dokonaniem
generalnego zwrotu w stosunku do Ro-
sji w skali innej niż taktyczna. W ist-
ocie, bowiem Rosja i Rosjanami Dmow-
ski głęboko gardził, uważał naród ro-
syjski za stojący znacznie niżej od pol-
skiego w sensie kulturalnym i ekono-
micznym. Ale właśnie na tym tle gło-
sił tezę, iż możliwość wpływu rosyjskie-
go na rozwój narodowy Polaków była
daleko mniejsza, niż wpływu niemiec-
kiego. W wypowiedziach przywódcy na-
rodowej demokracji nie trudno odna-
leźć nawet ślady podziwu dla niemiec-
kiej ekspansyjności, organizacji życia
narodowego czy kultury. Zatem moż-
liwej realizacji polityki wynaradawia-
nia z ich strony były, jego zdaniem,

Konieczność integracji

Cląg dalszy ze str. 1

doświadczonych działaczy nie mieliśmy
zbyt wielu. Ludzie przekonani do no-
wej, rodzącej się platformy działania
ruchu związkowego, przekonani doniej
w pełni, wyrastali w trakcie pracy. Mu-
szą się ciągle uczyć. Nauka na włas-
nych błędach jest bardzo kosztowna.
Ruch związkowy im szybciej zadba o
stworzenie systemu kształcenia włas-
nych kadr, tym będzie lepszy. Amator-
stwo kosztuje.
— Profesjonalizacja grozi skostnie-
niem. Nie obawia się pan rutyny?
— Życie podsuwa coraz to nowe im-
peratywy. Nie mam obaw. Powiem, że
jestem nie tylko za kształceniem dzia-
laczy związkowych. Marzy mi się prze-
szkolenie wielu dyrektorów zakładów
pracy, aby fachowo, w myśl prawa, mo-
gli się ustosunkowywać do działalności
związkowej. Dla dobra sprawy którą
reprezentuję.
— Przypnam się, że mam kłopoty w
rozeznaniu struktur związkowych...
— Nie tylko Pan jest w tej sytuacji.
Podobne kłopoty mają działacze zwią-
zowi za granicą. Również nasi obywa-
tele mogą mieć bóle głowy. Bo na
dzień obecny, struktury związkowe wy-
konane z obu opcji, tej wynikłej z
pryncypów ustrojowych, i tej oddolnej
mają charakter unikalny, nigdzie w
świecie niespotykany. Mamy obecnie w
Polsce 26 tysięcy, posiadających oso-
bowo prawną, niezależną, samorząd-
nych związków zawodowych. Każdy z
nich jest osobno zarejestrowany w są-
dzie. Każdy na swój statut.
— A federacje, OPZZ?
— OPZZ jest jeden, federacji 132.
Nie wszystkie federacje do OPZZ na-
leżą. OPZZ nie może narzucać swojej
woli federacjom. Federacje nie mogą na
rzucąc swoich decyzji organizacjom
związkowym, ani też sprawować nad
nimi funkcji kontrolnych.
— Nie funkcjonuje zasada centraliz-
mu demokratycznego?
— Nie w pełni funkcjonuje. Ogólno-
polskie Porozumienie Związków Zawo-
dowych powstało z konieczności, jako
pośredniczący partner w rozmowach
choćby z rządem. Natomiast postano-
wienia OPZZ, tak samo, jak najslusz-
niejsze nawet uchwały federacji, nie
mają mocy zobowiązującej. Poszczegół-

ne, spośród 26 tysięcy związków
realizują je na zasadzie zupełnej dobro-
woli. W krajach socjalistycznych,
również kapitalistycznych, ruch zwią-
zkowy działa w ramach branż. Jedna
branża, to jeden na ogół związek. U
nas w przemyśle spożywczym działa 16
ogólnopolskich struktur. Mają swoją fe-
derację cukrowniczą, osobną cukierniczą.
W transporcie jest 11 federacji. Leśnicy,
drzewiarze, weterynarze, melioranci ma-
ją swoje ogólnopolskie organizacje
związkowe. W resorcie kultury działa
16 federacji.
— Istnieje federacja perkusistów?
— Nie istnieje, ale istnieć może.
— Dochodzimy zatem do konkluzji,
że polski ruch związkowy musi się upo-
rządkować.
— Integracja musi się dokonać w in-
terese ludzi pracy i również w intere-
sie samych związków zawodowych. Z
przyczyn wewnętrznych i zewnętrz-
nych. Istnieje potrzeba sprawnego opi-
niowania decyzji rządowych wpływają-
cych na losy ludzi pracy. Jednak kształt
tej integracji ma już charakter dyskusyj-
ny. Nikt nie pragnie nawroty do formu-
ły CRZZ. II Zgromadzenie OPZZ stoi
przed trudnym zadaniem wypracowania
formuły integracyjnej zgodnej z inten-
cjami mas członkowskich i federacji.
Ta formuła integracji musi ocalić przy-
miotniki „niezależność”, „samorządność”,
zaś w nich istotny, historyczny doro-
bek polskiego ruchu związkowego. Są
w tej kwestii również aspekty między
narodowe. Trudno wiele naszych pojęć
przełożyć wiernie na obce języki. Dla
zagranicy słowo zgromadzenie, zamiast
„Kongresu” jest informacją o istnieniu
provisorium. A przecież jest inaczej.
— Z czym udają się zielonogórscy de-
legaci na II Zgromadzenie OPZZ?
— Z wypracowanym w pocie czoła
dorobkiem. Oto fakty: w wojewódz-
twie zielonogórskim 180 tysięcy osób
ma prawo zrzeszania się w związkach
zawodowych. Przełamaliśmy już pew-
ne psychologiczne bariery. bo na dzień
1 października br. mieliśmy 530 organi-
zacji związkowych i 109 tysięcy człon-
ków. W skali całego regionu przekro-
czyliśmy 60 procent ogółu zatrudnio-
nych. Wśród naszych członków prawie
55 procent stanowią robotnicy. Silni je-
steśmy zwłaszcza wśród nauczycieli, ro-
botników rolnych i w przemyśle lek-
kim. Jest wśród nas 36 tysięcy kobiet,
niepełna 10 tysięcy emerytów i ren-

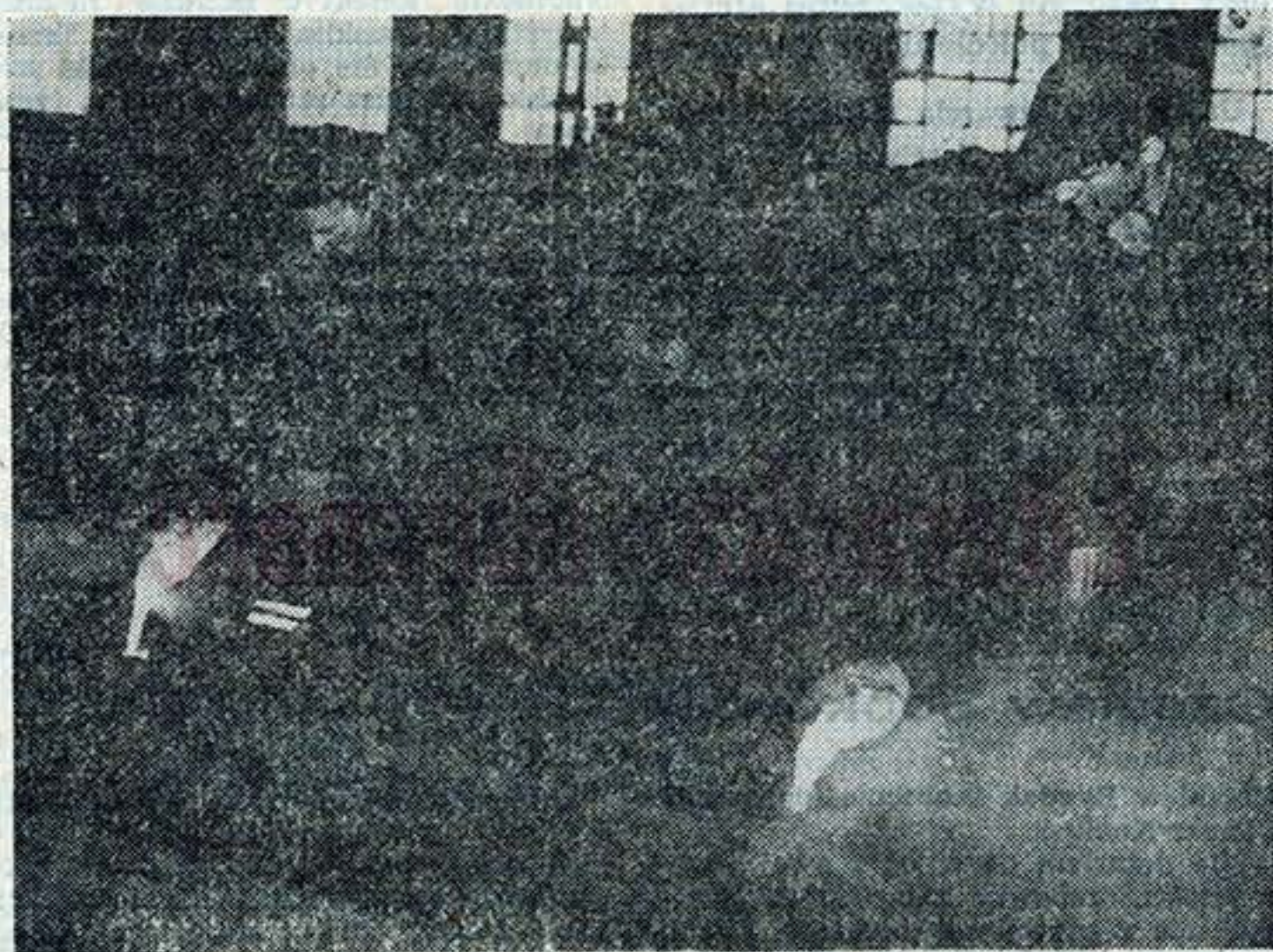
cistów. Uważamy, że mamy słabszą po-
zycję wśród młodzieży. Członków do
lat 30 mamy około 25 tysięcy.

— Jedziecie więc na II Ogólnopols-
kie Zgromadzenie OPZZ z dużym do-
robkiem. Jesteście siłą społeczną, orga-
nizacyjną. Wyrażają się pytania o pro-
gram.

— Nasz program powstaje z poglą-
dów i woli mas członkowskich a z dru-
giej strony — nie uchylamy się od ko-
rzystania z wiedzy specjalistów. Mamy
na przykład dość owocną współpracę z
Polskim Towarzystwem Ekonomicz-

rowana. Nie wiem, czy radni mieli w
ogóle okazję się z tą opinią zapoznać.
Z informacji znanych opinii publicznej
wynika, że posiedzenie na którym zało-
żenia planu pięcioletniego zatwierdza-
no, przebiegało w nastroju bezkonflik-
towym, w atmosferze wzajemnego roz-
umienia i wszechsympatii. Na ten temat
nie było żadnej dyskusji. Wasz protest się
utopił.

— Sytuację uważam za skandaliczną.
I do tego będziemy musieli się ustoso-
nować. Z próbami spłowywania nam
zębów mamy dość często do czynienia.



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

nym. Jesteśmy otwarci na umowy z in-
nymi. Z inicjatywy naszych związkow-
ców, przy dużym udziale fachowców,
opracowaliśmy szeroką ankietę na te-
mat funkcjonowania miasta Nowej So-
li.

— Wyniki tego sondażu określono
mianem czarnowidztwa...

— Prawdy, jakby jej nie nazwać i
tak nie można zlekceważyć. Jest ona
aka, jaka jest. Nie po to badaliśmy
opinie mieszkańców Nowej Soli, aby po-
zostawić sytuację w tym mieście bez-
 zmian na lepsze, choć wiemy, ile trze-
ba uczynić, aby sytuacja uległa odu-
wałnej przez społeczeństwo poprawie.
No i co z tego, że powstał czarny obraz
funkcjonowania miasta Nowa Sól? Pr-
yncypia się przewróciły? Ustosunko-
waliśmy się na podstawie opinii zwią-
zkowców, podbudowanej wiedzą specja-
listów, do planu rozwoju społeczno go-
spodarczego województwa. Nasza opi-
nia o wojewódzkim planie rozwoju na
1987 rok była w wielu sprawach nega-
tywna.

— Ale na sesji Wojewódzkiej Rady
Narodowej wasza opinia nie była hono-

Podany przykład koresponduje z kwes-
cją znacznie szerszą, mianowicie z obra-
zem działalności związkowej w szerokiej
opinie społecznej. A to ma znaczenie
zasadnicze — jak widzi nas społe-
czeństwo? Zdając sobie sprawę z tego,
co mówię. Ale z doświadczeń agresyw-
nej propagandy moglibyśmy uszczknąć
coś dla siebie. Przecież jest zupełnie in-
prawdą, że jesteśmy pokornym ciele-
ciem, zadowolonym z tego co nam da-
ją inni. Wymienię np. prace nad no-
wym kodeksem pracy, politykę cenową.
My rzeczywiście bronimy podsta-
wowych interesów ludzi pracy, w skali
ogólnej, ogólnopolskiej, i przypadkach
szczególnych, gdy komuś dzieje się
krzywda. Wśród wielu zadań zapisuje-
my sobie i takie że musimy się na-
uczyć sposobów informowania opinii pu-
blicznej. Bo ten obraz, który jest, faktycz-
nie mocno odbiega od związkowej rzeczy-
wistości. Nie możemy być z tego zado-
woleni. Dodam, że nasze położenie na-
turalnie nie jest łatwe. Nie chcemy sprawie-
dliwego podziału między i biedę. Chce-
my uczestniczyć lojalnie w wypracowy-
waniu dóbr po to, by mieć co sprawie-

dziwie dzielić. Na razie mamy do czy-
nienia z niustającą galopadą cen. Tak
zwane dobra trwałe użytku pochodzą
z przemysłowego są coraz droższe i
coraz gorsze. Jakość telewizorów, pra-
lek, butów jest coraz gorsza. Jak prze-
wać ten diabelski kraj? — oto jest py-
tanie.

— Właśnie — jak?

— Nie mam gotowej recepty. W spi-
rali cen, pogorszeniu jakości uczestni-
czą ludzie pracy. Nasuwa mi się ide-
alistyczny pomysł, aby sami ludzie pra-
cy zaczęli uczestniczyć w pilnowaniu
jakości wyrobów przemysłowych i to
władze, od produkcji stali w hutach,
po produkcję farb, lakierów, śrub, usz-
czek, Partacka robota uderza w nich
samych.

— Wierzy Pan jeszcze w apele?

— Jakoś trzeba zacząć walczyć o ja-
kość. Ktoś musi. Tym kimś powinny
być także związki zawodowe.

— Panie Przewodniczący, macie za-
pewne swoją ścianę placu. Jaki obraz
rzeczywistości wyrażają się na podsta-
wie kontaktów z ludźmi?

— Ludzie widzą poprawę na pozio-
mie elementarnym. Postęp jest. Obraz
rzeczywistości, mimo tego pewnego po-
stępu, nadal jest dość smutny. Za naj-
dramatyczniejszą uważamy sytuację
mieszkaniową. Wiele miast rozpadła się
w oczach. Zbieramy owoce wieloletnich
zaniedbań w remoncie i konserwacji
starej substancji mieszkaniowej. Stare
domy się rozpadają a nowe budowni-
ctwo nie nadąża. Na dziś, mamy drama-
tyczną sytuację z opalem na zimę. We
gła brakuje a w lasach gnije drewno.
To ludźmi bardzo boli. Zie jest ze służbą
zdrowia. Wścieka nie tylko stan bazy
służby zdrowia, zaopatrzenie w leki,
ale całe funkcjonowanie służby zdra-
wia — gigantyczne kolejkę do specja-
listów, wieloletnie kłopoty z zależe-
stwowaniem się u lekarza specjalisty.
Trzeba mieć zdrowie, aby się leczyć.
Jak długo będziemy się godzić z ta-
kim jak obecnie funkcjonowaniem
oświaty? Praca na trzy zmiany...

— ... Dziękuję Panie Przewodniczący.
— Czuje się Pan przytłoczony? Po-
wiem, że nas sytuacja także przytła-
cza. Szukając rozwiązania — myślę —
że my, członkowie związków zawo-
dowych znajdujemy, bo już znajdujemy,
swoje miejsce w rozstrzygnięciu proble-
mów otaczających nas rzeczywistości.
Przy rozwiązywaniu spraw skompliko-
wanych nie chcemy być dyletantami.
Fachowcy będziemy też się domagać
od wszystkich innych uczestników spra-
wowania władzy.

— Półki co, stoją przed Wami spełnie-
nia hasła integracji ruchu związkowe-
go?

— Tak. Ruch związkowy musi się
uporządkować. Zaś w tej integracji na
sza baza musi pozostać silna.

Rozmowę przeprowadził:
RYSZARD ROWIŃSKI

Postanowiliśmy, przy moście na Odrze, na nabrzeżu z obu stron postawić podium do występów zespołów artystycznych — wspomina Jerzy Januszewski, były przewodniczący Zarządu Powiatowego ZMP w Ślubicach — założony aparat nagłaśniający, głosniki ustawili nad samą rzeką, z wyłotem na przeciwny brzeg. Ponieważ widowisko miało się odbyć w godzinach wieczornych, brzęgi postanowiliśmy oświetlić reflektorami wypożyczonymi z miejscowej jednostki WOP. Po czasie imprezy miały poprzedzić referaty wygłoszone przez przedstawicieli organizacji młodzieżowych, tylko od mocy decybeli głośników zależało, czy głos dotrze na drugą stronę. (...) Manifestacje kończyły kolorowe rakietki, które pięknymi pióropusami odbijały się w nurtach rzeki. Wtedy nastąpiło coś, co nie było przewidziane w żadnym programie, co nie było wyreżyserowane. Nie wiem, kto zaczął śpiewać światowy hymn młodzieżowy, wiem tylko, że po chwili śpiewały oba brzegi. (...) Pomyślałem, że w taki sposób rozpoczął się nowy proces integracji młodzieży, dla której gwizd spadających bomb będzie tylko efektem akustycznym w kinie. „Nie zna granic ni kordonów pieśni zna, pieśni zew”.

Od tamtego wydarzenia coraz mniej dzieli oba nasze narody, a coraz więcej łączy. Do 1975 r. województwo zielonogórskie współpracowało z określeniem Frankfurt nad Odrą. Wtedy to narodziły się wzajemne prezentacje osiągnięć artystycznych i kulturalnych, we Frankfurcie powstała restauracja „Polonia” serwująca polskie potrawy, jednym z dyrektorów Teatru im. H. Kleista był zielonogórzanin Zdzisław Gizejewski. Wtedy też wielu Lubuszan wiewiór spędzało w teatrach, orkiestrach, kawiarniach Berlina. Niektóre związki zielonogórsko-frankfurckie przetrwały do dziś, choć oficjalnie okręg współpracy z województwem gorzowskim. Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna składa się z uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia w Zielonej Górze i frankfurckiej Wojewódzkiej Szkoły Muzycznej, a w jej programie znajdują się utwory kompozytorów polskich i niemieckich. Orkiestra jest laureatką wielu nagród NRD, koncertowała nie tylko we Frankfurcie i Zielonej Górze, lecz i w Warszawie, i w Berlinie. W 1973 r. Lubuskie Towarzystwo Kultury nawiązało kontakty ze Związkiem Kultury (Kulturbund) we Frankfurcie, a Sekcja Plastyki Amatorskiej LTK z podobną grupą w Zakładach Póprzewodni-

ków w Markendorf. W latach, kiedy u nas było trudno o wszystko, właśnie nieprofesjonalni z NRD pomagali lubuskim plastynom amatorom. Przy zielonogórskim Okręgu Polskiego Związku Filatelistów istnieje Klub Zainteresowań Znakami NRD, skupiający kolekcjonerów znaków pocztowych z całego kraju. Tu też odbyła się pierwsza Międzynarodowa Wystawa Filatelistyczna „PRL — NRD”. A jeśli już mowa o roli Zielonej Góry w upowszechnianiu wiedzy o NRD, to należy odnotować i to, że w 1965 r. nakładem wydawnictwa Lubuskiego Towarzystwa Kultury ukazał się zbiorek wierszy współczesnych poetów NRD pt. „Dopóki serce bije”, w przekładzie Eugeniusza Wachowiaka. Prócz E. Wachowiaka tłumaczeniami utworów pisarzy zaa Odrę i Nysy Łużyckiej zaj-

we, szkoły, zakłady pracy, instytucje handlowe. Współpraca ze sobą m.in.: Gubin i Wilhelm Pieck Stadt — Guben, Zary i Weisswasser, Nowa Sól i Hoyerswerda, Kozuchów i Jessen.

W 1975 r., kiedy nastąpiły zmiany w podziale administracyjnym Polski, zostały zerwane kontakty zielonogórsko-frankfurckie. Od tego roku powoli, lecz systematycznie rozwija się współpraca Gorzowa z Frankfurt. Nie powinienem o tym nawet wspominać, ale niech będzie, że nie donoszę komu należy, a upowszechniam dobre przykłady. Otóż wiele organizacji i instytucji zielonogórskich nadal współpracuje ze swoimi dawnymi partnerami z Frankfurtu, na przykład wymienione już szkoły muzyczne. Często jest

między — Cottbus, po Łużycy — Chociebuż. Ba, nawet poczta NRD używa dwu nazw — niemieckiej i łużyckiej. Można się spierać, czy określenie Zielonej Góry jako Grünberg jest nietaktem politycznym, Poznania jako Posen, Wrocławia jako Breslau, ale są to inne sprawy. Nikt nie protestuje, gdy Niemcy w NRD i RFN mówią Warszawa, Kraków, Wrocław, w ich języku tak się te miasta nazywają.

W czerwcu bieżącego roku odbyły się w NRD — „Dni kultury PRL”, zaś w październiku — „Dni kultury NRD” w Polsce. Oba stronom chodziło o to samo: prezentacja własnego dorobku artystycznego i kulturalnego w kraju partnera. W województwie zielonogórskim na miejsce inauguracji wybrano Zagań. W olbrzymiej sali Zagańskiego Pałacu Kultury koncertem „Piosenka i taniec przyjaźni” zaprezentowała się Młodzieżowa Estrada z Chociebuża. Koncert został powtórzony w Lubsku i Świebodzinie. „Dni” zakończył koncert orkiestry symfonicznej chociebuskiej Państwowej Orkiestry, którą dyrygował Gerhard Gregor, kierujący zespołem od 1962 r. Jako pianistka wystąpiła Renate Schorler, pedagog w Wyższej Szkole Muzycznej im. Hansa Eislera w Berlinie. Orkiestra wykonała „Koncert fortepianowy” e-moll Fryderyka Chopina, „I symfonia” C-dur Carla M. Webera oraz utwory współczesnych kompozytorów NRD. Jako pierwszy melomani dość licznie zebrani w sali Filharmonii Zielonogórskiej usłyszeli „Prolog symfoniczny” Bernarda Weinreicha. Jest to utwór pomyślany jako otwarcie każdego koncertu, a został napisany z okazji trzydziestolecia chociebuskiej orkiestry. Po przerwie muzycy wykonali „Muzykę uroczystą” Haralda Lorscheiera, dzieło przejrzyste formalnie i dramatyczne, będące w stałym repertuarze wielu zespołów. Zebranej w Hali Ludowej blisko 800-osobowej publiczności przypadł do gustu koncert w wykonaniu grupy „Cottbuser Kindermusical”.

Jeszcze przed oficjalną inauguracją „Dni” w salonie Biura Wystaw Artystycznych odbyło się otwarcie olbrzymiej wystawy „Twórczość artystów plastyków okręgu Chociebuż”, na której pokazano prace 28 artystów. W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki czynne były dwie wystawy — „Plastyka nieprofesjonalna” i „Ludzie, praca, kultura” w fotografii. Współorganizatorem tej ostatniej był Dom Kultury Narodowej Armii Ludowej w Chociebużu. Od końca października aż do 12 stycznia przyszłego roku w Muzeum

Regionalnym w Nowej Soli można oglądać wystawę „Przyroda okręgu Chociebuż”.

Wystawom towarzyszyły spotkania autorów z publicznością dość licznie przybyłą na ich otwarcia. Padają pytania, trwała ożywiona dyskusja, wymiana myśli. W ogóle zielonogórzanie interesowali się tym, co było do oglądania i słuchania. Może dlatego, że autorzy z NRD nieco inaczej interpretują swoją sztukę, starając się najpierw docierać z nią do przeciętnych, mniej wyrobionych odbiorców?

Na zaproszenie zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich przybyła delegacja pisarzy: Elke Nagel i Matthias Körner. Goście spotkali się ze studentami drugiego roku germanistyki WSP, do których mówili o współczesnej literaturze NRD. Zarząd Oddziału ZLP zaproponował, by w przyszłości podobne spotkania odbywały się po tamtej stronie Nysy Łużyckiej, a także, by w prasie chociebuskiej ukazywały się przekłady utworów autorów lubuskich.

Podobny przebieg miały „Dni kultury okręgu frankfurckiego” w województwie gorzowskim. Również odbywały się spotkania plastyków, fotografików, dziennikarzy. Wiele było koncertów muzycznych, m.in. w Muzeum Okręgowym w Gorzowie wystąpił Berliński Kwintet Smyczkowy, w sali Teatru im. J. Osterwy — Orkiestra Rozrywkowa z Eberswalde Finow, w Skwierzynie — chór Akademii Śpiewaczy przy Hali Koncertowej im. Carla F. E. Bacha we Frankfurcie i „Conbrio” z Fürstenwalde. Wydarzeniem był spektakl „Kaukaskie kredowe koło” Bertolta Brechta w wykonaniu aktorów Teatru im. H. Kleista.

W obu województwach goście z NRD byli podejmowani przez zakłady pracy, organizacje polityczne, młodzieżowe i związki twórcze.

Podczas tych „Dni” chodziło o odpowiedź, m.in. na pytania: jak socjalistyczna NRD zdołała przełamać barierę dzielącą naród od sztuki i kultury, jakie przemiany zapoczątkowało współzawodnictwo pod hasłem „Socialistyczne pracować, uczyć się i żyć”, jak rozwija się współpraca pomiędzy amatorskim ruchem kulturalnym a środowiskami twórczymi, na czym pracują artyści, jak obywatele NRD pielęgnują spuściznę kulturalną. Jestem przekonany, że cel został osiągnięty.

ALFRED SIATECKI

Kultura NRD

Prezentacja w Polsce

muje się Romuald Szura, którego przekłady pomieszczono m.in. w antologii „Steigen musst du, steigen” (Cottbus 1980). Tadeusz Kajan jest współautorem przekładu sztuki Jurija Kocha pt. „Mój wumerjenny kraj”, która pod polskim tytułem „Zagroda na skraju” miała swoją prapremierę w tym roku na deskach gnieźnieńskiego Teatru im. A. Fredry (teatrem kieruje zielonogórzanin Jerzy Glapa). Poezję budziszynskiego autora Kito Lorena przekłada Witold Piwowski. Towarzystwa kulturalne Lubuska i Zary organizują sesje naukowe poświęcone kulturze Łużyczan. Od lat w Gubinie odbywa się wzajemna prezentacja dorobku kulturalnego „Wiosna nad Nysą”, uważana za jedno z najciekawszych wspólnych wydarzeń po obu stronach granicy. Skoro mowa o korzyściach wynikających z tej współpracy, należy wspomnieć i o tym, że w obu zielonogórskich szkołach wyższych pracuje wielu absolwentów uczelni NRD, pracownicy naukowscy WSP i WSI kolejne stopnie akademickie zdobywają za Odrą. Robocze kontakty utrzymują wszystkie instytucje artystyczne, związki twórcze, redakcje, organizacje sportowe, młodzieżo-

wo, które podtrzymywanie kontaktów przydatnych, nawiązanych wtedy, gdy były one służbowe.

Od 1975 r. województwo zielonogórskie współpracuje z okręgiem chociebuskim, znajdującym się po drugiej stronie Nysy Łużyckiej. W tym miejscu pozwalam sobie na powtórzenie uwagi, którą wygłaszałem już wiele razy, przyjmowane zawsze ze zdziwieniem. Nie rozumiem, dlaczego we wszelkich dokumentach, publikacjach i mowach głoszonych podczas spotkań oficjalnych kierownicy naszego życia politycznego, administracyjnego, kulturalnego itd. używają niemieckiej nazwy miasta Cottbus, które przecież po polsku nazywa się: Chociebuż. Skoro mówimy i piszemy: Dreżno, a nie Dresden, Lipsk, a nie Leipzig, Poznań, a nie Posen, Cottbus, dlaczego Chociebuż mamy nazywać Cottbusem? Od pewnego czasu niemiecką SED nazywamy po polsku NSPJ, coraz częściej FDJ określamy jako Związek Wolnej Młodzieży Niemieckiej. We wszystkich encyklopediach i słownikach polskich najpierw występuje nazwa Chociebuż, dopiero potem objaśnienia, że po nie-

dobrze obuwi oraz świadomość, że ładnie się prezentujemy.

— A w życiu, co zdaniem Waszym, jest najważniejsze?

ANDRZEJ: — Miec cel. Życie, to sześć lat drogi. Trzeba tak nia podążać, aby nie stracić z oczu horyzontu.

— Jest w tym jakieś echo poezji...

ANDRZEJ: — Bo ja w eichoci piszę, a raczej pisałem wiersze, mam ich parę w szufladzie.

BEATA: — Andrzej też pięknie rzeźbi.

dium K.O. ze specjalnością tańca. Takie studium prowadzi WDK i my tam uczymy się. Równocześnie dążymy do stworzenia własnej wizji tańca, własnego stylu. Teraz korzystamy z wiedzy innych ludzi. Kiedyś i my tą wiedzę przekazujemy dalej.

BEATA: — Mam też cel, który na razie jest marzeniem.

ANDRZEJ: — Chcemy w przyszłości założyć w Zielonej Górze klub rock and rolla o szerokim zasięgu, z nauką tańca, dobrą taśmoteką, filmami, dyskusjami itp.

— Nie zapytałam, ile macie lat.

BEATA: — Razem mamy 46 lat, z czego więcej przypada na Andrzeja, a wazymy razem 116 kg...

— Co Was cieszy najbardziej poza sukcesami w tańcu?

ANDRZEJ: — Zyczliwość, jakiej doznajemy od ludzi. Jedną z takich osób jest instruktorka tańca w WDK Jola Bechynie. To wspaniała dziewczyna. Parokrotnie już, niewiele mówiąc, potrafiła umocnić nas w trudnych momentach. Razem z nami przeżywała wszystkie emocje turniejów. Śmiała się i płakała z nami.

— Czy nie kuszą Was występy w lokalu?

BEATA: — Nie. Mielismy propozycje, ale nie chcemy się wciągać w to życie.

ANDRZEJ: — Nie chcemy takich „chorych” pieniędzy. Chcemy natomiast, aby to co robimy i do czego może w przyszłości dojść, miało znamiona sztuki. Dla mnie ważniejsze jest „być”, niż „mieć”.

— Co na to wszystko Wasze rodziny?

BEATA: — Cieszą się, kiedy wypadniemy dobrze i przejmują się przed występami.

ANDRZEJ: — Moji rodzice mieszkają w Jasieniu, tato pracuje w fabryce „ZREMB”. Mam też 18-letnią siostrę-czkę Irenkę. Wszyscy bardzo interesują się tym, co robie.

— Który to z kolei Wasz wywiad dla prasy?

ANDRZEJ: — Dokładnie nie pamiętam, ale zapraszam panią do klubu „Za stalą”. Mam tam powlekane wszystkie wycinki prasowe i zdjęcia. Może też panią zainteresuje, że klub nasz jest siedzibą Stowarzyszenia Twórców Kultury Robotniczej. Jestem wiceprez wodniczącym tego stowarzyszenia. Mammy około 50 członków i właśnie oczekujemy na oficjalną rejestrację.

— Czego Wam życzyć, poza zdrowiem i powodzeniem?

BEATA: — Zebyśmy w dalszym ciągu mieli taką opiekę, jaką mamy teraz.

ANDRZEJ: — Zebyśmy osiągnęli to, co zamierzamy.

— W jakich okolicznościach poznał się?

BEATA: — W klubie „U ojca” na dyskotece. Ale z początku szło nam nie najlepiej.

ANDRZEJ: — Zawsze pociągał mnie taniec. Wyszedłem z wojska i rozglądałem się, co by tu robić ciekawego. Wtedy spotkałem Beatkę.

BEATA: — Zatańczyliśmy na osiedlowym konkursie w klubie „Novita” i nieoczekiwanie zdobyliśmy i miejsce. To nas zdołowało, by próbować dalej.

ANDRZEJ: — I pojechaliśmy do Nowej Soli, gdzie odbywał się ogólnopolski maraton disco. Znow przyniesiono nam i miejsce! To już było coś. Napisała o nas „Gazeta Lubuska”. Cieszyliśmy się parocz i nabieraliśmy wiary we własne siły.

— Kiedy to było?

ANDRZEJ: — W czerwcu 1984 roku, a za dwa miesiące w Białym Borze w województwie koszalińskim miały odbyć się doroczne mistrzostwa Polski w maratonie tańca.

BEATA: — Wybraliśmy się tam, nie przypuszczając, że osiągniemy aż takie wyniki.

ANDRZEJ: — Przetńczyliśmy 116 godzin i 25 minut, pobijając tym samym rekord Polski i, jak nas poinformowano, także Europy.

— Nie powiecie chyba, że tańczyliście przez kilka dni i nocy bez przerwy?

ANDRZEJ: — Właśnie tak! Z pięciominutowymi przerwami co godzinę! Stańliśmy na parkiecie w czwartek, a zeszliśmy we wtorek następnego tygodnia.

— Jak w amerykańskim filmie „Czyż nie dobiega się koni”.

BEATA: — Nasz maraton wyglądał całkiem inaczej, niż ten w filmie. Kiedy już okazało się, że wytrwaliśmy najdłużej i, że i nagroda jest nasza, przestaliśmy odczuwać zmęczenie. Mogliśmy tańczyć jeszcze ze dwie doby.

ANDRZEJ: — W tym roku w Białym Borze najlepsza para przetanńczyła tylko 30 godzin, jesteśmy więc w dalszym ciągu rekordzistami. Chcę dodać, że ostatnia godzina tego rekordowego czasu, ożyła do nas popis, z którego dochód został przeznaczony na Centrum Zdrowia Dziecka.

— Ciekawa jestem, jak tańczycie?

BEATA: — Teraz już tańczymy inaczej, niż wówczas.

ANDRZEJ: — Bo ten pamiętny dzień 9 sierpnia 1984 roku w Białym Borze był dla nas punktem zwrotnym. Po znaliśmy smak triumfu oraz radości, jaką daje uznanie widowni, także trochę sławy w pewnych kręgach — i postanowiliśmy jakoś wszystko to spożytkować. To znaczy poprawić styl, zacząć uczyć się, trenować, ćwiczyć. Bo dotychczas tańczyliśmy po prostu „na żywioł”.

— Jak byłeś ubrany?

BEATA: — Kolorowo i trochę śmiesznie. Miałam falbanianą spódnicę i „galotki” z koroneczkami.

ANDRZEJ: — Nagle spostrzegłem, że tańczą już tylko cztery pary. Widownia skandowała „osiem, osiem”, nasz numer. Pokonaliśmy wszystkich zawodników i uzyskaliśmy I nagrodę. Impreza nazywała się „VI Ogólnopolski Turniej Rock and Rolla im. Billa Halley'a”.

— Jak wyglądał ten turniej?

BEATA: — Sędziowie obserwowali tańczących z góry i co 5 minut robili selekcję, eliminując tych, którzy nie spełniali warunków. Publiczność od początku nas faworyzowała. Zakończyliśmy taniec sami, przy ogromnym aplauzie widzów. Było to dla mnie niezapomniane przeżycie. Trzeba dodać, że startowało około 40 par.

— Musieliście kupić bilety na podróż i noclegi, może też nocować. Na czyj koszt to wszystko?

ANDRZEJ: — Na nasz własny. Jeszcze wtedy nie mieliśmy takich mecenasów, jakich mamy teraz. Ukończyłem technikum mechaniczno-elektryczne i pracując, po wojsku, w swoim zawodzie zdołałem zaoszczędzić 15 tys. zł. Te pieniądze pozwoliły nam na przygotowanie się do Warszawy oraz podróż i pobyt. Poprzednie wyjazdy też pokrywaliśmy z własnej kieszeni.

— I przyszła dobra wróżka...

BEATA: — Tą wróżką okazał się „Zastal”.

ANDRZEJ: — Nasza sytuacja całkowicie się odmieniła. Otrzymaliśmy oboje pracę w klubie „Zastal”. Zakład zaoferował nam jak najdalej idącą pomoc. Wszyscy odnoszą się do nas z-

achów, z których najmłodszy ma 4,5 lat, porusza się w rytmie rocka. Wiążeśmy duże nadzieje z tymi naszymi wychowankami.

— Nie wymieniliście wszystkich wygranych konkursów.

BEATA: — Przypomnijmy więc te nie wymienione: turniej o „mistrzostwo Polski w rock and rollu sportowym” 28 kwietnia 1986 roku, gdzie wygraliśmy tzw. „lekcję rocka”.

ANDRZEJ: — „Mistrzostwa Polski w tańcu disco-modern” na których zdobyliśmy I wicemistrzostwo Polski w disco parami oraz wygraliśmy konkursy rock and rolla sportowego...

BEATA: — Potem „Zastal” wysłał nas do Świeradowa na obóz sportowo-wypoczynkowy...

ANDRZEJ: — A po powrocie w oszalałym tempie przetanńczyliśmy 20 godzin na maratonie winobraniowym w Zielonej Górze.

— Pozazdrościł kondycji. Ostatnio, zdaje się, występować w NRD.

ANDRZEJ: — W ciągu dwóch dni daliśmy tam pięć występów. Była to ogromna parada artystów. Wyjazd nasz zawdzięczamy klubowi „Gwardia”, który bardzo nam pomaga w uzyskiwaniu tej, jak pani wspominała, kondycji oraz sprawności akrobatycznych.

— Co jest w tańcu najtrudniejsze?

BEATA: — Właśnie te akrobacje. Normalnie akrobaci robią takie figury w sposób statyczny, mając dość czasu, natomiast my — w mgnieniu oka. Zawsze troszeczkę się boję, gdy np. okrzyczę się Andrzeja wokół szyi, albo gdy on mnie wysoko podrzuci.

— Co jest najważniejsze?

ANDRZEJ: — Przygotowanie fizyczne i dobra forma psychiczna. Dalej: strój, który nie przeszkadza, bardzo

TANECZNYM KROKIEM

Z mistrzami rock and rolla Beatą Grabowską i Andrzejem Gliwą rozmawia Halina Ańska

ANDRZEJ: — A Beatka robi postępy w życiu. Sami projektujemy sobie stroje. W tym miejscu muszę powiedzieć, że poza dyrekcją „Zastalu” mamy opiekuna również w osobie pani prezydent Grzegorzewskiej, która wyasygnowała z miejskiej kasy pieniądze na nasze kostiumy. Toteż jak powiedziałem, staramy się, aby wszyscy, którzy nam pomagają, nie żałowali tego.

— Ktoś powiedział, że tańcie, to zwracanie głowy nogami.

BEATA: — Ale przecież żeby dobrze zatańczyć na estradzie, trzeba się bardzo napracować. My naprawdę dużo pracujemy. Trenujemy 5—6 godzin dziennie, rezygnując z wielu przyjemności.

ANDRZEJ: — Kiedy wróciłem z maratonu włączyłem w domu telewizor. Akurat nadawano migawki ze zniw. W pewnym momencie na ekranie pojawił się mój, ja na pierwszym planie, gdy tańczy na rękach. I do tego komentarz w tym rodzaju: „ten klient tańczy już tak 116 godzin. Ile w tym czasie mógłby zdziałać przy zniwach! Ale czego się nie robi dla pieniędzy”. Zrobiło mi się smutno, bo to wcale nie jest tak.

— A jak jest? Czy macie jakieś pieniądze z tego tańca?

ANDRZEJ: — Nagroda wynosiła wówczas 10 tys. zł i poszła cała na jedzenie i odziewki.

— Powiedział Pan, że w życiu trzeba mieć cel.

ANDRZEJ: — Moim celem i ośrodkiem Beaty jest w tej chwili ukończenie Stu-

dyum K.O. ze specjalnością tańca. Takie studium prowadzi WDK i my tam uczymy się. Równocześnie dążymy do stworzenia własnej wizji tańca, własnego stylu. Teraz korzystamy z wiedzy innych ludzi. Kiedyś i my tą wiedzę przekazujemy dalej.

BEATA: — Mam też cel, który na razie jest marzeniem.

ANDRZEJ: — Chcemy w przyszłości założyć w Zielonej Górze klub rock and rolla o szerokim zasięgu, z nauką tańca, dobrą taśmoteką, filmami, dyskusjami itp.

— Nie zapytałam, ile macie lat.

BEATA: — Razem mamy 46 lat, z czego więcej przypada na Andrzeja, a wazymy razem 116 kg...

— Co Was cieszy najbardziej poza sukcesami w tańcu?

ANDRZEJ: — Zyczliwość, jakiej doznajemy od ludzi. Jedną z takich osób jest instruktorka tańca w WDK Jola Bechynie. To wspaniała dziewczyna. Parokrotnie już, niewiele mówiąc, potrafiła umocnić nas w trudnych momentach. Razem z nami przeżywała wszystkie emocje turniejów. Śmiała się i płakała z nami.

— Czy nie kuszą Was występy w lokalu?

BEATA: — Nie. Mielismy propozycje, ale nie chcemy się wciągać w to życie.

ANDRZEJ: — Nie chcemy takich „chorych” pieniędzy. Chcemy natomiast, aby to co robimy i do czego może w przyszłości dojść, miało znamiona sztuki. Dla mnie ważniejsze jest „być”, niż „mieć”.

— Co na to wszystko Wasze rodziny?

BEATA: — Cieszą się, kiedy wypadniemy dobrze i przejmują się przed występami.

ANDRZEJ: — Moji rodzice mieszkają w Jasieniu, tato pracuje w fabryce „ZREMB”. Mam też 18-letnią siostrę-czkę Irenkę. Wszyscy bardzo interesują się tym, co robie.

— Który to z kolei Wasz wywiad dla prasy?

ANDRZEJ: — Dokładnie nie pamiętam, ale zapraszam panią do klubu „Za stalą”. Mam tam powlekane wszystkie wycinki prasowe i zdjęcia. Może też panią zainteresuje, że klub nasz jest siedzibą Stowarzyszenia Twórców Kultury Robotniczej. Jestem wiceprez wodniczącym tego stowarzyszenia. Mammy około 50 członków i właśnie oczekujemy na oficjalną rejestrację.

— Czego Wam życzyć, poza zdrowiem i powodzeniem?

BEATA: — Zebyśmy w dalszym ciągu mieli taką opiekę, jaką mamy teraz.

ANDRZEJ: — Zebyśmy osiągnęli to, co zamierzamy.

Jesień '86

Kazimierz J. Furman

Panna winna

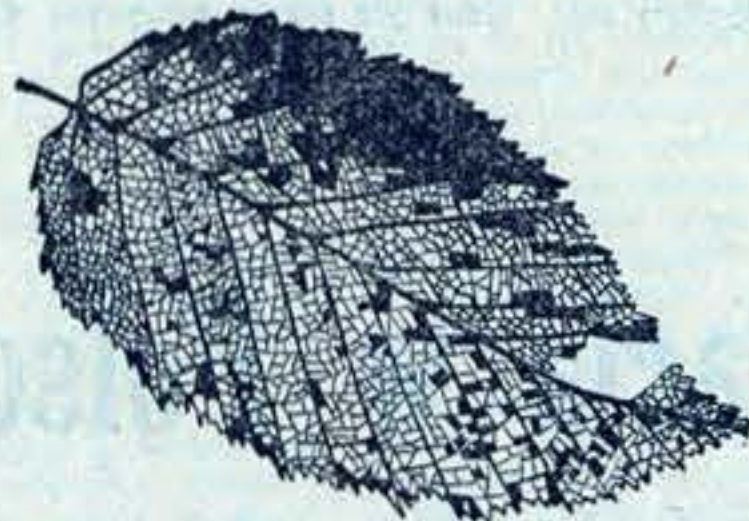
Pola w stodółach
Sądów kosze pełne
Wrastałaś w tę obecność
I jesteś coraz bardziej dojrzała ustom
I jesteś coraz bardziej przeznaczona mężczyźnie

Jablonie czerwone od niewinnych pocałunków słońca
Prześlągnięte nim grona, jarzębina i głóg
— Ta radość mieści się w pragnieniu
Bo kiedy wargi kładę na pucharu obrzeg
Mam usta pełne ust

Idąc ku tobie namiętnie i dojrzałe
Zrywam z siebie ostatni przydziewek lata
Stojąc w cichej okolicy postania
Kładę na wzroku twe serdeczne całowania
Nie chcąc znieść ciszy, w jakiej spoczywasz

Usypiają taka
Spełniona w pierwszym paku, w jego krwi zielonej
W zapachu bagna i krochmalu
Okryta słomą
Oszroniona mąką
Otulona śniegiem liści skręconych do bólu
Spoczywaj taka w deszcz
W ogniu błyskawic
W gradzie

Wrastałaś w tę obecność solą potu, żarem
Panno winna, kapłanko gąsiora



Mieczysław J. Warszawski

Żniwująca

Żniwująca, to przecież ona
sama sobie, zadaje na ramiona ów zbożny świat,
któremu mimo przeciwności losu
podoła.

To ona snop żniw ścięła pod płód płodu
i jak pokutująca brodził w szerszy i wzdłuż rżysk
aby dociec, kto
kogo dźwiga: ona ziemię
czy ziemia jej znoją kobiecość.

A w rzeczy samej
powinność jej poci cała w rozkłoszeniu.
Pod podolkiem brzemienności. Wezbrana od łanu
do łanu. W dźwięki syta. I pełna słońca,
pod którym się korzy, przypadając
do nóg rodnym gleb,
by móc spętany powrosem dar oburącz dźwignąć
wyżej aniżeli stodoły
i młyn, nawet nie zdawszy sobie wagi
z wydzwiganego.

I tak odwiecznie przytroczone do zagonu, zrodzona
z łona łon, kroczy
pośród żniwnych naw nie po to,
aby pokorę czy ból znieść, lecz
ażby przemienność chleba w ciało
stawała się dla nas
— przyziemnych —
powszednieniem.

Zatem znak krzyża nad chlebem czyniąc,
czynimy to w imię tej co zbiera żniwo.

Oto i przeobleka się ona, kobieta żniwująca

Henryk Szyłkin

Psalm XVIII

Z ogniem w żrenicach,
z balastem słów niewypowiedzianych,
ze stertą spraw niezłatwionych,
z sercem przybitym gruzem trosk —
mijając wraki wypalonych nadziei
idę dwusieczną życia.
Wicher z umęczonej ziemi
smaga mnie niewidzialnym biczem
rzucając kłody pod nogi,
piotunem zwęglonym przysypując głowę.
Niespokojnie otwierają się lata moje —
jakby przez wiek
trwał ten pochód krzyżowy
umierających korzeni
obalonych idei.
Gorycz moja jak rzeka na drodze
topi wiarę w jutrzejszy dzień.
A za mną ciężki i niemy,
zgarbiony popiołem czasu —
idzie mój cień.



Stanisława Flewńska

Mój dom wapnem malowany,
w łona zieleni ko ołazca,
mały ogródek kolorowy,
to mój dom pełen krzyku.

Świełem zostaje samotny,
na parę godzin ciszy,
wieczorem znów zaczyna
śnić i głośno myśleć.

I noc na krótko otula
nasze gniazdko dojrzałe,
piękne wrosło nam kuniaty,
będzie owoce wspaniałe.

Gustaw Lapszyński

1

w roku osiemnastym dziadek walenty żniwował siemiakiem
narzędziem sposobnym do zebrań chleba, czynił kołba zboża
polyskliwy rogalik sierpa zgarbił w bochny chude kłosy
powrócił jak wypruta z ręki zła obejmowała fikiwte roślinę

gdzieś poza zagonem rudej pszenicy paliła się gwiazda
w dalekim kraju wschodnim przelewano krew za ziemię i plugi
ludzi składano jak ziarno w glebę wywalczona na własność
zbieranie chleba rozpoczynano od bólu co podnosił pięści

dziadek walenty modlił się za chłopów bijących się o ziemię
pochylony nad nieurodzajem napinał grzbiet jakby do skoku
mięśnie ewiczył w tym pokornym cieciu żniwnym —
dziadek walenty miał broń w ręku i żał żożę

2

ojcu janowi w czterdziestym piątym wzeszła samotniejsza
z żelaza co dymilo jeszcze rozrosła się korzeniami strachu
ani ją cholera ścigała ślepą kosą ani zebrać cudzymi rękami —
ojcu janowi w czterdziestym piątym pomógł żniwować diabeł

i wszyscy święci z przydrożnych kaplic zbiegli się hurma
i akacyjowy fraszobliwy z krzyża zszedł na dymiące rżysko
i przyszedł dziadek walenty choć był już w chłopskim niebie
i przybywało coraz więcej żenców w lęklivej krwi ojca jana

wówczas stanął śmiało wraz ze wszystkimi na polu żniwnym
zamachnął się kosiskiem ramienia aż pod nieboskłon siny
zwinął zboże jak dywan i ziarno wydobył z kople strzelistych
z diabłem zatańczył słomianego hopaka i wybuchło ścierńisko —

3

w roku osiemdziesiątym szóstym idzie polem stalowy żniwiarz
jak koń trojański polyka białą grzywę kłosów i wypłwca ziarno
myśli wtedy o ciepłym chlebie leżącym na sklepowej półce
w nim pulsuje wciąż nieumilkła krew naszych przodków

Wojciech Czerniawski

Żniwa

to oni z twarzą szorstką pomarszczoną żyta
a nad glinianym garnkiem z mlekiem zsiadłym ptaki
ozasem w życie gdzieś brama z kutego żelaza
i widać twarze ludzi przy tej bramie świata

te zwykle snopy żyta związane powrosem
koła wozów skrzyjące jaskółki w przelocie
otaczają mnie zewsząd słyszę kos klepanie
we wsi w której zostali tylko ludzie starzy

to oni na twym biurku z twarzą niby kłosy
stoją boso i patrzą w milczeniu odchodzą
czy to skrzypienie wozu czy to czyjś krzyk trwogi
spójrz nad łaką na biurku mgła od strony lasu

czasem widzisz ich z kosą na ulicy w tłumie
czekają aż zapali się zielone światło

Zbigniew M. Jelinek

Wszystko co żyje bez pomocy słów

nałepiej nad ranem można utonąć w rozwinanych
włosach łanów zbóż
kiedy delikatna nasza skóra
zakoluje upojona szelestem kłosów
pozwól pozwól bym mógł na to spojrzeć
jest tak jakbym patrzył na trzymaną w dłoni biedronkę
leć do nieba i przynieść mi kawałek chleba
gdy cały drzę kaszany żdźbłem żyta
w południe urodzaju
w witrażu ptaków nadziei
co niesie słomkowe kapelusze kubki wina
radość słodczy winogron z miasta
znad zielonego wzgórza gdzie przy rogatkach siedzi bachus
jak apollinaire czekający rozkazów
pozwól pozwól bym mógł na to spojrzeć
co jest tak twardym losem
strumieniem sprawiedliwości
marzeniem

Hilario Sosa, na wolność". To powiedział strażnik, a potem powtórzył to raz jeszcze, podczas gdy człowiek leżący w burym cieniu cali podkurczał nogi i usiłował usiąść, macając marynarkę, na której wyświechtanych kłapkach jeszcze widniał ślad zakrzepłych rzygów, wspomnienie owego pijaństwa sprzed wielu lat.

"Hilario Sosa, na wolność".

Ale tym razem nie powiedział tego strażnik, pomyślał to on sam, podczas gdy powoli wstając kierował się ku wyjściu, odpływając starczą flegmą w garść, którą potem wytarił o ciemnym spodnie.

A kiedy mijał biurko komisarza, spojrzał w szklane drzwi, w których, niby w lustrze, we mgle straconego, rozrzedzonego poprzec lat czasu ujrzał całe swoje bezsensowne życie.

Zdarzyło się to dawno temu, kiedy mieszkał w budzie z blachy zrobionej przez ojca, przez starszego brata, przez chorą matkę i przez niedorozwiniętą siostrę, połączonych tą wspólną agresywną i skuteczną walką biedy z żywiołami, walką wyrażającą się hałasem, nie skoordynowanymi ruchami, uderzeniami młotką, taszczeniem przedmiotów, które w końcu skonkretyzowały się w postaci szarej budy o krzywym kominie, gdzie żył potem aż do swoich siedemnastych urodzin wśród kaszlu matki, wciąż niedorozwiniętej siostry i arcywygodnej nieobecności pracującego ojca.

Żył więc tam sobie na dalekich przedmieściach z matką, która go wychowała, i tą drugą kobietą, której był bratem, a która później uczyła go wujem dzięki burzliwym nocom z własnym ojcem pod polatanymi kocami; żył w tej budzie, w której podłoga była zimna i wilgotna ziemia, a noc wślizgiwała się pod blaszane ściany, tworząc ciemny kwadrat, na którym stawały stopy prawie zawsze boso, wśród skrzyń zastępujących krzesła i dwóch łóżek dla całej rodziny.

Buda otoczona była innymi podobnymi budami, a ich wygląd i ustawienie ścian świadczyły o większej lub mniejszej zręczności rąk mieszkańców, rozmaitych typów w ciemnych czapkach i grubych szalach na szyi, którzy rytmicznym krokiem znikali w ciemnościach świtu kierując się ku codziennym obowiązkom i zjawili się wraz z zapadającą nocą, w szybkim otwarciu i zamknięciu drzwi objawiając na chwilę swoje postacie, wyłoniłone z ciemności przez światło płonących we wnętrzu domów naftowych lamp.

Żył sobie na tym przedmieściu burzliwym i beznadziejnym życiem wraz z grupą innych chłopaków w jego wieku, pośród ciągłego ruchu między opalonych nóg, pośród pustych puszek, ciskania kamieni, pośród ludzi przygarbionych od nadmiaru pracy i ciągłej walki o byt, pochylonych nad garnkami, paleniami i baliami pełnymi białej, w nie kończącym się wysiłku, aby jakoś dalej pchać to życie, podczas gdy oni, te rozbrzykane dzikie szczeniaki, bosymi nogami ubijali skorupę ziemi, ganiając za psami, za piłką, nie przejmując się niewygodami nędzy, niemal o niej nie wiedząc, jakkolwiek nie raz i nie dwa musieli pomagać w ciągłym podpieraniu tego życia, w stałym gromadzeniu sił, by oprzeć się powolnemu, bezwzględemu, miazdzącemu uciskowi tych drobnych obowiązków, w nieodownym wykorzystywaniu przedmiotów, ciuchów, a nieraz i pożywienia jakichś nieznanych ludzi, którzy w równie nieznanych miejscach powyrzucali je i pousuwali ze swojego życia jako stare i zbędne, a które im — mieszkańcom blaszanej — mogły jeszcze służyć na tysiąc sposobów. A jeżeli czasem pozostawało coś z tego, co dawniej było okroślonym użytkowym przedmiotem, natychmiast w brudnych kuchniach obrabano to w ciepło i dym, który tylko czernił dachy bud, dając jego mieszkańcom krótkotrwałe uczucie błogości.

O dwadzieścia kroków od dzielnicy bud stały pierwsze murowane domy, nowoczesne i brzydkie, w staranym ogródkach o paskudnych kłombach, na których natura posłusznie układała się w uporządkowaną różnorodność kwiatów i roślin.

Mieszkał w tych domach żywotni i zróżnicowani ludzie klasy średniej, wstępujący po drabinie społecznej lub też z niej zstępujący, przyszła i była arystokracja, przyszła i miniona bieda, ludzie „przejściowi” o zwyczajach zdradzających ich pochodzenie lub przyszłe ambicje, poźnieni z nieokreślonymi, rozmaitego rodzaju zagrożeniami tuszą kobietami, rodzice ładnych córek — przyszłych nauczycielek, i synów — studentów albo sportowców.

Żyli tam z wygodną myślą o własnych domkach, w których mieszkali lub zamieszkać, o książeczkach oszczędnościowych dla dzieci, o tamtym telewizorze, niedrogim adapterze, o pralce o cotygodniowej kąpieli, o niewybrednych tygodniach i marnych serialach słuchanych przez radio po obiedzie wśród szczęku sprzątanym naczyni i komentarzy na temat sąsiedki w przesłuwającej sukience.

Aż tam dochodzili nieraz oni, większe i mniejsze, piętnasto — szesnasto — i siedemnastoletni chłopaki z tej sąsiedniej, a tak odległej dzielnicy blaszanej; przyłazili po trzech albo czterech, mieli nie budzące zaufania twarze, wyróżnione ciuchy, brud warty od wielu pokoleń, niedopasowane portki, pełne czarnych i szarych lat marynarki i tę ciężkawą, jakby hamowaną zreżymowaną górskich zwierząt.

Pierwszy raz zobaczyli ją koło dziewiętej wieczór, w głębi ogrodu, nieskazitelna biel sukienki przylutona do ciemnej męskiej postaci, ona sama pełna jasnej i nieporządnej kobiecości.

Jak koty przyczołgali się wśród ciemnych zarosli i patrzyli, jak tamci całują się i pieszczą z gwałtownym pośpiechem tajemnych kochanków. On, energiczny, o doświadczeniach, pewnych ruchach, ona, zaledwie opierająca się, ulegająca rozkoszy, jęcząca cicho, przerywanie, błagalnie i nakazująco, w sposób, w jaki kobiety wszystkich czasów okazują bezwzględne poddanie i milczące przyzwolenie swojej pici.

Potem jego ręce znikły pod jej sukienką i ukazało się coś białego, co najpierw trochę tylko opadło, co potem jej własne ręce ściągnęły szybko, zginając wprzód jedną nogę, potem drugą, w końcu odciągając koronkę, która zahaczyła się o wysoki obcas pantofla.

Potem gorączkowe, pośpieszne pieszczoty, gwałtowny upadek na trawę i szybkie dobiegnięcie do mety pierwszorazowych kochanków.

A potem ich powrót do domu, tych chłopaków z dzielnicy blaszanej, ich chude ciała w zbyt luźnych ciuchach ocieślały od fizycznego i psychicznego zmęczenia, ich szkliste z wyczerpania źrenice, w których ciągle jeszcze odbijał się rozrzucony nieład tych nóg na ciemnym tle trawy.

A następnego dnia:

— No co, Negro, idźcie?

— Idźcie.

A potem przenikliwy gwizd i rozrządząca głowa wychylająca się z mijanej blaszanki.

— Idźcie, Mingo.

— Obejrzeć blondynę.

I jeszcze jedna wyprawa, i jeszcze jedna, i nie kończące się oczekiwanie na mokrej murawie z rozigraną wyobraźnią, i zmęczenie w kolanach, i gorąca noc.

W końcu któregoś wieczoru zobaczyli ją. Tym razem stała przed domem, a oni właśnie przechodzili po wielu straconych godzinach wśród wysokich zarosli. Stała prosto na swoich pięknych, wysokich nogach w ciepłym świetle ganku, z tą świeżą cerą młodości, stała tam trzymając za ręce młodego, atletycznie zbudowanego mężczyznę o muskularnym, opalonym karku i patrzyła mu w oczy.

Minęli ich wtedy oni, ci z blaszanej, chwytając zaledwie strzępek rozmowy.

— ...tro spot...

A oni przeszli, doszli do rogu, obejrzel się i poszli dalej.

— Widziałeś? Nie ten sam...

— Ten będzie narzeczony.

W wiele dni później umówili się we trzech, on — później człowiek, który to teraz wspominał — i dwóch tamtych, Negro i Mingo, wszyscy

CENA POŻADANIA

Dalmiro A. Saenz

scy dzieciaki jeszcze: on kończył siedemnastkę, oni po szesnastkę lat. Połączył ich wspólny ideał, tak jak przedtem okoliczności czy potrzeba, czy po prostu podobieństwo ich prymitywnych myśli — i teraz, połączony tym głodem ekscytującym, w podnieceniu uknuli plan, który później mieli wykonać.

Najpierw przestudiowali godziny jej zajęć: trzy dni w tygodniu z nieskazitelnie czystym zeszytem pod pachą chodzila na kursy Pittmana, w sukienkach po dzieciennemu namarszczonych; w czwartki i w niedziele czekała — nieraz nawet na progu domu — na przyjście młodego siłacza, który zawsze coś przynosił: czasem cukierki, czasem pizzę, czasem książkę, czasem jakieś ciastko, do których zaglądała z dzieciinną ciekawością dziurawiąc papier, podczas gdy on obejmował ją ramieniem i razem wchodził do domu, pozostawiając w wygodniach oczach ukrytych chłopców niejasny, gorzki obraz kokietyrnych uśmiechów, pieszczotliwych spojrzeń i podniecającego ruchu bioder w obcisłej sukience.

— Te, widzisz, bracie, ten jej się podoba. Patrz, jak na siebie kikują — mruknął któryś ze skromną dozą nabytego w kinie doświadczenia.

— A tamten?... Widziałeś, żeby z tym zrobiła to, co z tamtym?

— Ale tamten stary. Nie widziałeś, że stary? Murowana czterdzielka...

Wtedy odezwał się on, a tamci zamilkli, bo był trochę od nich starszy, bardziej oblatany i skąpy w słowa, czym dawał do zrozumienia, że niejedno wie.

— Nie — oznajmił. — Kocha młodego, ale podobać to jej się podoba tamten.

— A co się stało, że ten stary przepadł?

— Już tam ona go widuje, tylko nie tutaj.

— No to kiedy robisz to, co wiesz?

— Jutro — powiedział.

— O której?

— Jak się ścisłami.

— A jak się będzie darła?

— Zatkamy jej gębę.

— Tam będzie się darła... przecież ona to lubi.

— Jak się będzie darła, to ją dźgnę.

— Akurat... akurat ją dźgniesz.

Następnego dnia poszli po południu wszyscy trzej: Negro, Mingo i on.

— Tędy musimy iść, wleziemy tu, a jak będzie szła, to ją za hals.

I skryli się na nie zabudowanej parceli między domami i siedzieli tam aż do ciemności na wilgotnej murawie, na tym niewielkim kawałku ziemi, który nie zalany asfaltem, wybuchł nieoczekiwanym nadmiarem rozrzuconej zieleni, zarosli, krzaków, wolnej, nie ujętej w karby natury. Tam ukryli się te trzy istnienia, przeżywające właśnie najmocniejszą, najbardziej intensywną chwilę z dotychczas przeżytych, tu, na tej miękkiej ziemi, która łagodziła żar i żądze ich ciał.

Potem ustalili kolejność: jeden z nich wybiegał na chodnik wyglądając, czy nie nadchodzi, dwaj inni, gapiąc się przed siebie — oczekiwali na sygnał.

W pewnej chwili usłyszeli przeszywający gwizd, pęd po wysokiej trawie i nerwowy krzyk:

— Idźcie! Idźcie!

Szła szybko po ciemnym chodniku z rytmicznym postukiem obcasów, z głową pełną beznadziejnych myśli bardzo młodych kobiet, z torebką przewieszoną przez ramię; szła od stacji do domu, tak jak co poniedziałek, środę i piątek. Kiedy mijała nie zabudowany teren, we trzech rzucili się na nią; chciała krzyknąć, ale brutalne uderzenie zepchnęło ją w zieleni, przebiegła jeszcze parę kroków usiłując nie stracić równowagi, którą w końcu straciła, i upadła na ziemię szlochając ze strachu, podczas gdy spoczęła ręka zatykała jej usta; chwila walki, a potem już tylko cztery kłębki się młode ciała, zjeżdżające ze strachu i podniecenia.

Sceny miłosne w literaturze pięknej

— Nie drzyj się, bo dostaniesz — powiedział jakiś głos, a ona uczuła na szyi zimny dotyk stali.

— Czego chcesz? — odważyła się wyjąkać przez łyż. — Nie mam ani grosza.

Przez chwilę było cicho, leżała na wznak na ziemi z rozkrzyżowanymi rękami i uwiecznionymi dłońmi, czując tuż koło twarzy gwałtowny, pod nieoczekiwanym oddechem jednego z nich, podczas gdy drugi trzymał ją za kostki nóg, a trzeci groził nożem.

— Nie krzycz, bo dostaniesz, nie krzycz, bo dostaniesz — słyszała nerwowy głos, ale żaden z nich nie ośmielał się zabrać do tego, co planowali, o czym snili dni i tygodnie, a co teraz mieli w zasięgu swych smagłych rąk, które jednak spoczywały niezdecydowanie, nie robiąc nic, by dotknąć, pomacać to pożądane ciało, przedtem nieosiągalne, utopijne niemal, teraz rozciągnięte obok ich kolan — o tyle dalsze niż podczas tych wszystkich nocy, w czasie których w intymnej samotności łóżek czuli językami jej półuchylone usta i miękkość ramion oplatających szyję.

Po dłuższej chwili któryś położył wilgotną rękę na jej nodze, a potem powędrował nią dalej, trochę ponad kolano, pod spódniczkę, z pozabawionym lubieżności szacunkiem dotykając delikatnej skóry, gładząc ją parokrotnie tam i z powrotem aż do brzegu majteczek.

— No to jazda, Negro — powiedzieli tamci. Ale Negro, otepiał, powtórzył tylko poprzedni gest z dzieciinnym:

— Nie mogę, stary... Ty pierwszy...

Wtedy on — później człowiek, który to teraz wspominał — zerwał z niej spódnicę jedynym ruchem, a kiedy krzyknęła rozpaczliwie, nieprzytomny ze zdenerwowania zaczął ją bić po twarzy i ustach, aż zamilkła, a potem ukleknął między jej nogami, usiłował ściągnąć majtki, które jednak nie chciały się zsunąć przez jej szeroko rozwarte uda.

Kiedy poczuła, że ma wolne stopy, znów krzyknęła, a on znów ją uderzył. Wówczas twarz jej, posiniaczona i zalana łzami, odwróciła się i nastał spokój, a on położył się na jej nogach chcąc ją unieruchomić i wtedy, nagle, zdał sobie sprawę, że już może to zrobić.

Z oczami błyszczącymi wśród brudnych twarzy wszystkich trzej patrzyli teraz na nią z tym dziwnym uczuciem rozczarowania, jakiego doznają mężczyźni, dopiero zaczynający być mężczyznami, w obecności kobiet już rzeczywiście będących kobietami, a którzy w swych snach mężczyzn, nie będących jeszcze mężczyznami, widzą te kobiety jako dziewczęta nie będące jeszcze kobietami. Patrzyli na jej udzie zbyt pełne na ich młodzieńcze wystylizowane marzenia i na tamto, zbyt widoczne jak na ich prywatno-delikatną lubieżność i teoretyczne zadośćuczynienie ich niedoswadczonej, ale nie niewinnej młodości.

A wtedy zobaczyli, że on to robi, to, co przecież wiedzieli, jak się robi, chociaż nigdy przedtem tego nie robili ani też nikogo o to nie pytali, ale co przezywali od dzieciństwa tym prokreacyjnym instynktem człowieka, a może jego pozainstynktowną świadomością, a może zwierzęcą świadomością, a może po prostu ciekawością ludzkiej ignorancji.

A on to robił, robił to przy pomocy najprostszych rytmicznych ruchów, trwających zaledwie parę sekund, wspierając ręce o murawę, o którą potem wsparł i lokcie w niezręcznym usiłowaniu, by pocałować tę wykrzywioną, przerażoną twarz zalaną tuszem i łzami.

A wtedy wstał i zapinając spodnie podniósł głowę nieokreślanym, dzieciennym ruchem, który nagle przemienił się w gest przerażenia.

— Tu są! Tu są!

I głos jakiejś grubej baby, która wskazywała ich wyciągniętą ręką, jej brylowata postać ginała w ciemnościach, z których równocześnie wynurzył się cień policjanta przesadzającego krzaki.

Wtedy zerwał się do biegu, biegł z całych sił upadł i znów się zerwał, aż dobiegł do ogradzającego teren muru. Zanim przeskoczył, odwrócił się i ujrzał go tuż, zdyszanego, bez czapki, z ręką na ciemnej kabusze. Wtedy skoczył, uniesiony w górę nerwowym napięciem, przez sekundę zawisł poziomo nad murem, potem lekko stoczył się w jakiś nieznany ogród i jeszcze biegł i jeszcze potknął się o węzła do polewania, przeskoczył jakąś kratę, rozpaczliwie pędząc dalej już teraz ciemnym chodnikiem, aż dobiegł do szyn, chwilę skakał po podłogach, wreszcie wyczerpany runął w rów i zniechęcony, z twarzą w ziemi, rozkoszując się wilgotnością nocy, wśród świeżości traw i lekkiej poświaty księżyca na szynach. W końcu trochę uspokojony wstał.

Do domu przyszedł późno i wsunął się do łóżka, wyciekawszy krótki moment przerwy w rytmicznym kaszlu matki.

Ale nie mógł zasnąć, myślał o jasnowłosej dziewczynie. Znowu widział ją taką, jak tego chciał młodzieńcze marzenia, a nie rzeczywistość dorosłego mężczyzny. W końcu zasnął.

Obudził się wcześniej, ubrał raz-dwa i poszedł do Mingo. Jakaś kobieta prała przed domem, wszedł nie pytając; Mingo siedział na skrzyni popijając matę, które szybko odstawił na ziemię.

— Negra chapneli — powiedział.

— Którędy nawiewałeś?

— Jak ty. Przez mur. Negro chciał ulicę! głośno szczał go nakrył.

— Sypnie?

— Co ty? Kto sypnie? Facet — żyłeta.

— Ale żaden z nich w to nie uwierzył; oszukiwali się wzajemnie z męską łatwością do okłamywania się i z dzieciinną naiwnością wterając we własne kłamstwa.

Kiedy zadzwaliła blaszana drzwi, a energiczne uderzenia zachwiała domem, który przestał się chwiać, dopiero gdy drzwi nagle się otwarły i stanął w nich potężnej tuszy mężczyzna, tamci podnieśli wzrok, ale zaraz potem go spuścili, jak na tej fotografii, którą w parę dni później zamieściła prasa, a która ukazała ich potarganych, w kajdankach, pod krew mrozącymi nagłówekmi wzbudzających drastycznie — cywilizowane oburzenie społeczeństwa w stosunku do cudzych przestępstw.

Po czasie gdy umundurowany żandarm rewidował ich, grubas szperał po kaptach, szczupły, ściśnięty pasem podoficer przeszukiwał skrzynię, a z wyznaczonej szacunkiem odległości tłum gawiedzi z napięciem, lekkiem i ciekawością należnymi władzy śledził przebieg wypadków, oni, Mingo i on — później człowiek, który to teraz wspominał — po raz pierwszy poculi się osrokiem czyichś słów, ruchów, czynności, a uczucie to jeszcze wzrosło, gdy wkrótce cała rzesza urzędników, dziennikarzy, funkcjonariuszy, a nawet prawników weźmie ich w swoje obroty, poświęcając ich osobom długie godziny pracy, ta rzesza ludzi w okularach i porządnych garniturach nagle uzależniona od każdego z ich słów, które potem maszyną do pisania schwyła we wsłuchiwnym rytmie pracy do przodu biurokracji lub w spokojnym pośliszgu ujażdżonej nienawiści.

Potem opuścili blaszanki nie patrząc na szermującą tłum, nie patrząc na dwie placzące, mówiące coś do grubasa kobiety, nie patrząc na stada dzieci; wyszli ze wzrokiem utkwionym w ziemię, czując w sobie dziwną mieszaninę skromnej wstydlivosti i czegoś w rodzaju nieśmiałej pretensji, zabarwionej tą klasyczną pozą przestępców — instynktowną, odziedziczoną, a może podpatrzoną w gazetach czy w kinie.

Kwadratowe auto szybko zawiozło ich do komisarzatu, gdzie zamknięci zostali w oddzielnych celach, a wiele godzin później wywołani do biura komisarza, którym okazał się ów własnie grubas. Zastali tam już Negra wymlizowanego i zgnębionego. Wszyscy trzej popatrzyli na siebie z ukosa.

— No, chłopaki — powiedział komisarz — ten już wypiekał wszystko, tak że nie dodawajcie nam próżnej roboty, gadać prawdę i kłwita.

A ponieważ zaległa cisza, nacisnął dzwonek.

— Wprowadź ich, kapralu.

Wtedy weszli tamci: blondynka, biała i z pod bitymi oczami, prowadzona pod rękę przez ojca i przez młodzieńca o atletycznym wyglądzie.

— To oni! — zawołała. — To oni! Jestem absolutnie pewna — i ukryła twarz na piersi młodego człowieka, ale ten odsunął ją szybkim ruchem, a jego ciężkie, wprawne pięści spadły na Mingo, który stał najbliżej, a który zwał się na ziemię pokrwawiony, z wybitymi zębami.

Policjant z komisarzem schwycili tamtego między siebie.

— Niechże się pan uspokoi... Niech pan się uspokoi...

Wtedy rozległ się wrzający oburzeniem głos ojca:

— Bezwstydni! Bydło, łobuzy, moja córka... moja córka... Zabić takich, wymordować tak, panie komisarzu, takich powinno się mordować! Zabrać kobiecie to, co ma najświętszego! Jej cnotę... jej dziewictwo... Moja córka już nie jest dziewicą...

— Akurat było jej co odbierać — z podłogi odezwał się Mingo. — Spytajcie się tego tam, jaka z niej była dziewica.

Wtedy wszyscy odwrócili się: ojciec, narzeczony, ona, komisarz, nawet stojący w progu dyżurny policjant. Wszyscy odwrócili się i spojrzeli na niego — później człowieka, który to teraz wspominał.

„Hilario Sosa, na wolność”.

Patrzył na swoje odbicie w szklanych drzwiach biura. Nie myślał ani o krótkich wyrokach, ani o wielokrotnych odsiadkach, oglądał siebie z zaciekawieniem — zrujnowanego przez lata, zniszczonego przez nalożone. Dalekie wspomnienie przesunęło mu się przed oczami i powoli powtórzył to, co w tym samym miejscu powiedział wiele lat temu.

— Tak, była dziewicą. Ja ją rozprawczyłem. No i co z tego?

I głębokie spojrzenie owej odległej kobiety wypełniło mu pierś.

(Opowiadanie, opatrzone redakcyjnym tytułem, pochodzi ze zbioru prozy argentyńskiego pisarza, wydanego pt. „Siedemdziesiąt razy siedem” w przekładzie Zofii Chadyńskiej przez Sp. Wyd. „Czytelnik”, Warszawa 1972)

1. TROCHĘ PRZEKOMARZANIA

Cztery nazwiska: Janusz Koniusz, Zbigniew Ryndak, Alfred Siatecki i Mieczysław Warszawski — to cztery osobne książki. Wszyscy mają za sobą znaczące publikacje, wszyscy odbiorcy zostali w swoim czasie znaczącymi nagrodami; a to imienia Stanisława Piętaka, a to „Lampka górnicza”, a to „Kogą gdańską”. Ewentualnym jest casus Siateckiego; autor „Podzwonnych ręczników” wszystkie książki wydał jako pokłosie konkursów, omijając naturalny rzeczy porządek tj. recenzje — w domyśle pozostawiając — wewnątrzwydawnicze. Ale jak to mówią w Europie, „wszystkie drogi prowadzą do Rzymu” czyli do wityny Lubuskiego Towarzystwa Kultury. Tam to, w jubileusz zielonogórskiego Oddziału ZLP ukazały się cztery tytuły wspomnianych autorów. Cztery razy po około 120 stron, to tylko nieco więcej niż jedna „Mrowka” Bronisława Słomki i nieco mniej niż jedna „Sahra” Witolda Niedzwieckiego, „Beczka Diogenesa” Janusza Koniusza, „Zdobycie rzeki” Zbigniewa Ryndaka, „Przeklęte wykopki” Alfreda Siateckiego i „Codzienna podróż pociągami” Mieczysława Warszawskiego — to wszystkie pozycje do końca zrealizowane miejscowymi siłami redaktorsko-poligraficznymi.

Słowem: można! I jakby na to nie patrzeć, ofensywa wydawnicza Lubuskiego Towarzystwa Kultury jest fenomenem, rzecz tylko w tym jakie proporcje do tego przyłożymy. Czy np. regionalna, niby zaściankowa publikacja nie jest dla Janusza Koniusza jakimś tam modus vivendi? Czy dla renomowanego autora prowincjonalny kurs to hossa czy bessa? Kwestia polega na tym, czy owo „renomowane” to już „coca cola” czy jeszcze tylko grodziska o europejskim, cytrynowym smaku?

Te pytania zostawiam smakoszom na literackie upały. Kiedy to słońce ustawi się w literackim zenicie.

2. TROCHĘ PRYNCYPIALNIE

W zasadzie, najbardziej wymiernym jakościowo elementem wartościowania literatury jest sposób narracji, albo anatomia narratora, wszak proza to sztuka narracji. W sposobie stosowania chwytów narracyjnych zawiera się wielkość albo miakłość talentu. Dziś nawet początkujący autor, jeśli chce zamieszkać na literackiej kodzie, zobowiązany jest do spekulacji formalnych, głównie w przedmiocie przedstawiania świata.

W tym kontekście Zbigniew Ryndak wybrał najmniej skomplikowaną optykę, żeby nie powiedzieć — najbardziej wulgarną. Jego narrator jest na gi, nie ukrywa się za przybicią bohatera ani autora. Ten narrator jest w jednej osobie i bohaterem i autorem „Zdobycia rzeki”. Więcej! — ten narrator to sam Zbigniew Ryndak — ergo: alter ego lub porte parole autora skądinąd udanej nagrody Piętaka. Ta prostota, albo nawet prostactwo narracji nie niesie ze sobą same niebezpieczeństwa. Bo jeśli narratorem „Miazgi” jest Jerzy Andrzejewski, to jego skala przeżyć artystycznych i ontologicznych sama w sobie budzi zaufanie. Zesta-

wienie przeżyć wszelkich Zbigniewa Ryndaka z jakimkolwiek doświadczeniem skazuje go zrazu na zaścianek, plotkarstwo literackie i masochizm wreszcie.

Bohater—autor—narrator „Zdobycia rzeki” jest po prostu ciagle tym samym, głęboko sfrustrowanym człowiekiem, porażonym zgorzkniałą samotnością. Stan psychiczny, w jaki popadł pewnie z powodu tzw. naciśku ziej rzeczywistości, rodzi nienawiść do wszelkich objawów życia zewnętrznego.

„Zastanawiał się, co osiągnął? — krzyczy Ryndak ustami swego alter ego. — Kim jest? Moralnym i politycznym zerem! Łuka i Patryk, to dalsze dwa moralne i polityczne zera.

Trzy po trzy, albo cztery razy po trochę

Czesław Markiewicz

Marek dobrze wiedział, jacy są w istocie. Jacy są na pokaz i dla siebie. Zdeptana jak krowie gówno bezideowość! itd. Ale w tym szaleńczym krzyku jest wyrachowana metoda. Otóż ma to być najuczciwsze z uczciwych demaskatorstwo, więcej — ma to być metademaskatorstwo podlane znana i skompromitowaną skądinąd samokrytyką. Oto ja: uczciwy Marek opowiem wszystko o swoich kolegach, z kluczem czy bez, o redaktorze Łuce, który żyje w konkubinacie z panią Inką, o red. Patryku, który drży w obawie przed zborszeniem się swojej jedynaczki Dżeli, to ja przytoczę z imionami i nazwiskami na wpół nieczytelną rozmowę K. Felchnerowskiego i H. Gwizdały — a wy patrzcie, jaki ten świat oficjalny jest brudny.

Jednak, ta uczciwość trąca donosem i sadomasochizmem. Czuć w niej nieuzasadnioną, niehumanistyczną i niehumanitarną, nienawiść. Donos Zbigniewa Ryndaka jest ponadto stereotypowy, manieryczny i staroświecki. Staroświecki jest np. stereotyp słuchania przez wszystkich i wszędzie jakiegoś koszmarnego Radia Monte Carlo (?). Staroświecki jest podryw dzweczny a la Ryndak, anachroniczny bo napuszony i psychologicznie podejrzany jest dialog Gwizdały z Felchnerowskim. Na tomiast monologowany autożyciorys mistrza Hilarego jest beznamietną kopią taśmy magnetofonowej.

Brak znajomości realiów, nachalna, wręcz demagogiczna retoryka narratora—bohatera—autora Zbigniewa Ryndaka, sprawiają, że z prozy Zbigniewa Ryndaka bije, leje wprost po mordzie fałsz i obłuda. Dwa razy, tylko dwa razy, bohater Ryndak jest ludzki, zwyczajny, słowem prawdziwy. Raz, kiedy wchodzi do wściekłości, gdy poznana w „Palmiarni” neofitka usuwa ich wspólne dziecko, drugi raz, kiedy to uginą się psychicznie pod naporem wojennej biografii bohatera tytułowego opowiadania „Zdobycie rzeki”

i kiedy dociera do niego kłeska życiowa ojca niedoszłej żony z „Palmiarni”.

Piękny jest u Ryndaka archetyp iżyki, którą matka wykarmiła osierocone króliki, by je później zabić, oskoroować i zjeść, a, że była wojna, wszystko samo przez się tłumaczy. Być może ten epizod z dzieciństwa bohatera spowodował dewiację psychiczno-literacką autora „Zdobycia rzeki”. De maskatorstwo Ryndaka nie tworzy antytoksyn — jakby to nazwał A. Sandauer. Tu chodzi jedynie o dobranie sobie towarzystwa do życiowego opadania; nawet w piekle w kupie jest rażniej.

Również dla Mieczysława Warszawskiego literatura jest drugą stroną życia. Różnica między nim a Rynda-

kiem polega na tym, że na pytanie czy literatura jest rewersem albo awerssem życia, ma odpowiedzieć czytelnik. „Codzienna podróż pociągami” składowana jest jakby kwantifikatorami dotyczącymi sposobów narracji. Pierwsze, tytułowe opowiadanie kończy się odatorską, lub odnarracyjną refleksją: „Zastanawiam się, jak powinno się takie historie opowiadać w pierwszej czy w trzeciej osobie liczby pojedynczej. Niech o tym zadecydują Szanowni Czytelnicy”. Jest to ekspozycja stosunku autora do przekazu literackiego. W tym swoistym kluczu interpretacyjnym zawarty jest także pogląd autora na zagadnienia mimetyzmu literatury. Jest to wreszcie próba rozstrzygnięcia problemu, czy literatura powinna naśladować, odwzorowywać życie, czy je kreować. Ostatnie opowiadanie pt. „Stan zawieszania” kończy się następująco: „To już koniec, albo początek. Kto to wie? Nie wiem, jak powinno się takie historie opowiadać w pierwszej czy w trzeciej osobie liczby pojedynczej. Moim zdaniem jest to bez znaczenia”.

Napisał Warszawski: „moim zdaniem”. Myliłby się jednak ten, kto by to „moim” utożsamiał z Mieczysławem Warszawskim — autorem. Problem w tym, że autor ukrywa się raz to za po dwójką narracji, innym razem wprowadza postać nijakiego W., który występuje niemal we wszystkich opowiadaniach, nie wypowiadając jednak ani słowa. Narrator przytacza tylko poglądy W. na interesujące go tematy. Może my więc jedynie podejrzewać, że powikłania bohaterów „Codziennej podróży pociągami” są w jakimś stopniu transpozycją autorskich perypetii życia wych Mieczysława Warszawskiego. Jest to osobliwy dowód na to, że literatura wymaga od kreatora maksymalnej szczerości, nawet do zakłamania włącznie. W tym pozornym paradoksie ukrywa się to, co stanowi o wielkości literatury, owe ingardenowskie miejsca niedookreślone.

Bohater Warszawskiego jest człowiekiem o wielkim rodowodzie. Nie jest jednak porażony awansem miejskim, nie jest również potrzaskany neofickim kompleksem. Nie przypomina w niczym bohaterów Redlńskiego, Nowaka, Kawalca, czy... Siateckiego. Jego wielkość polega na genetycznym związku z naturalnymi prawidłami bycia we wspólnocie. Ow bohater nie poddaje się żadnej konwencji, jeśli tylko ta konwencja wewnętrznie go krępuje. „Kiedy jestem samotny, to nie ma po dobrej samotności. Kiedy jestem bezczelny, to nie ma takiego drugiego bezczelnego faceta (...) Wszystko dla siebie. Nic dla kogoś innego” — konkluduje. Tłkliwość, z jaką Warszawski mówi o „męskich dloniach” matki, daje mu prawo do spojrzenia z naturalnego dystansu na okalającą rzeczywistość. Miejsce ciepłym i bolesnym jednocześnie jest dom rodzinny i dominująca tam postać matki. Matka i ten dom to punkty archimedesowe bohatera. Matka jest też siłą witalną całej aktywności uczuciowej, dlatego też niemal wszystkie kobiety — towarzyszyki bohaterów opowiadań — są w ciąży, albo tuż po porodzie.

„Miłość, której uczyłem się jak język polski” — pisze Warszawski w „Koncercie”. A języka polskiego uczył się przyszły literat, który nie ukończył liceum, otrzymując ocenę niedostateczną właśnie z języka polskiego. W tej przewrotności losu jest jakaś wielka prawda życiowa, bo ocenę niedostateczną otrzymał ten bohater również z życia, będąc zawsze między akcentacją a niemożliwością podjęcia życia we dwoje. I dlatego bohater opowiada nam „Jak dwie kropki wody” przypomniał nam trochę „Obcego” Camusa, nie mogąc się zdecydować na pocałowanie włok ojca, chociaż cała społeczność wielka czeka wyłącznie na ten gest.

Tak to wygląda w optyce narratora. Z czytelniczego „lotu ptaka” wszystko układa się w harmonię powikłań, w życie po prostu. A życie opisywane przez Warszawskiego posiada dwie bardzo ważne cechy: autentyzm i solidną formę. Od tego do prawdy droga już niedaleka.

Narrator Janusza Koniusza nie ekspozuje siebie. Jest dyskretny, subtelny w ferowaniu opinii o bohaterach, stara się być bardzo obiektywny. Przypomina trochę iwaszkiewiczowskiego super narratora, po mistrzowsku, oszczędnie i z genialną prostotą opowiadającego rzeczywistość. Niemal wszystkie utwory pomieszczone w zbiorze posiadają dokładnie umiejscowioną ekspozycję bohatera i tematu, kontrapunkt i wynikającą z tego wszystkich pojęcie. Każde opowiadanie konstruowane jest na zasadzie stopniowania dramaturgii. Przyjrzyjmy się choćby jednemu opowiadaniu „Jabłoni z Tyrolu”. Z ekspozycji tematu dowiadujemy się, że młode małżeństwo pragnie przekonać ojca o konieczności sprzedania gospodarstwa. W tę dyskusję ingeruje sama rzeczywistość: przyjeżdżają byli właściciele z RFN. Ten moment jest kontrapunktem opowiadania. Niemcy są miłi i dobru duszni, piją mleko, robią turystyczną podorywkę, informują życiowo o znakomitości tyrolskiej jabłoni. Zbliżamy się do pojęcia. Na odchodne mężczyzna — były właściciel pokrzykuje: „A dajcie o tę jabłonkę, bo jak tu wrócimy

to was na niej powiesimy”. Rozumie to tylko terazniejszy gospodarz, bez słowa bierze siekierę i wyrąbaje drzewko. Jego reakcja jest klamrą ideową spinającą pojęcie z ekspozycją tematu i bohaterów. Koniusz posługując się stereotypem, nie wymyślając specjalnie nic oryginalnego, nie komplikując problemu, osiąga zamierzony efekt etyczny i estetyczny. Autor „Beczki Diogenesa” doskonale zdaje sobie sprawę, że literatura to zespół chwytów i środków; wędrując od monologu przez nowelę do uniwersalistycznych supozycji opowiadania, potwierdza swoją literacką klasę.

W przypadku Siateckiego i jego „Przeklętych wykopków” krytyk ten i ów musi obnażyć swoją beznadziejność. Nawet wcielenie się autora w postać kilkunastoletniego chłopca wiejskiego trąca sztucznością. A jednak jest to prosta solidna, ale jakby brzemienista w pustostowie, jest jak zupa, doskonale przyrządzona, ale bez szczypty soli, pieprzu, maggi. Po doświadczeniach prozy Warszawskiego i Koniusza trudno przebrnąć przez inercję estetyczną „Przeklętych wykopków”. Siatecki ma pewnie swoich czytelników, o delikatnym, „watrobianym” literacko podniebieniu, ich gust niechaj będzie jedną krytyczną reakcją.

3. TROCHĘ JUBILEUSZOWO

Cztery książki w oficynie LTK-u to więcej niż czterdzieści almanachów prozy lubuskiej. Zaden z autorów nie jest w stanie ukryć się za woalem almanachowej skrótowności. Jest to najbardziej wartościowa i najbardziej reprezentatywna publikacja literacka w całym jubileuszowym dwudziestopięcioletnim ZLP. Wreszcie, jest to optymalna perspektywa dla krytyki i najsensowniejszy horyzont dla autorów, choćby dla Mieczysława Warszawskiego, który w pełni objawił swój niebanalny i autentyczny talent prozatorski.

4. TROCHĘ NIE NA TEMAT

Jest coś fascynującego w entuzjastycznym kibicowaniu ligi okręgowej; zamiast oglądać w telewizji transmisję meczu Hiszpanii z Włochami siedzą pod parasolem na trybunach KS Lechii i ekscytują się. Otóż! Tak! pobył w „sanatoriach” trzeciej ligi dając pocucie autentyzmu; na trybunach KS Lechii czuć pot zawodników, siniaki na piersiach nie są zdeformowane przez polcolor. Prawda płynąca z płyty trzeciej ligi pozwala wyć z podziwu, płakać z rozpaczy, drzeć z zimna, wypełniające małą przestrzeń pod parasolem.

I dlatego z pełnym szacunkiem, nie-jubileuszowo, odbieram namietność na nosie wokół książek... prowincjonalnych „trzecioliigowych”, wszak obok „polcoloru” Dostojewskiego, „Jubie” poczuć pot nawet narratora Zbigniewa Ryndaka, nawet jeśli opowiada on nie smaczna, ale smakowita anegdotę, jak to redaktorowi Łuce wielbielca literacka wysysała w młotnym uniesieniu spróchniałą ząb.

Można też zdyskredytować udaną prozę Warszawskiego i Koniusza jednym zdaniem, że budzi ona iwaszkiewiczowskie — z jednej strony — i camusowskie — z drugiej strony — skojarzenia. Ale można też znaleźć tam próby wyjścia albo wejścia w osobnicze rewiry literackie. I to jest chyba najważniejsza sze.

MANNHEIM - NAGRODY

ciąg dalszy ze str. 1

Trzecia nagroda, im. Józefa Sternberga, wzbudza mniejszy entuzjazm, gdyż przypadała dość schematycznemu filmowi „Ja kocham doliny”, ukazującemu powiązania monopolistyczno-dolarowe na przykładzie czterech chłubił-trafiał wybranych metropolii. Owszem ciekawe, godne wyróżnienia za demaskowanie kapitału, ale nie aż tak wysokiej nagrody.

Jak zawsze rozdano pięć równorzędnych „dukatów”, tym razem wszystkie zasłużyły. Według mnie właśnie na Nagrodę im. J. Sternberga zasłużył doskonale zrobiony film brytyjski „Żołnierze-dziecko” Karla F. Zisa. Bezrobotny z Walli, nie mogący znaleźć żadnej pracy, lekkomyślnie zgłasza się do wojska i prawie natychmiast jest posłany do Irlandii Północnej. Wiadomo, co się tam dzieje, ale mało kto sobie wyobraża, wobec jakich dyktand stawiani są żołnierze brytyjscy. Strzelają, po pierwsze, do braci, a po drugie, jawnie w imieniu złej sprawy.

Kolejnego „dukata” dostała najzabawniejsza komedia ostatnich lat, film za ledwie godzinny, a więc chyba przeznaczony dla telewizji. Jest to drugi z rzędu nagrodzony film radziecki, „Święto Neptuna” reżyserii J. Mamina. Rzecz rozgrywa się w 35 stopniowym mrozie na Dalekiej Północy. Do odcignięcia od świata kolchozu nagle przybywa wycieczka szwedów, którzy pragną zobaczyć poczynania miejscowego klubu pływaków w przerebii. Okazuje się, że klub istnieje jedynie w sprawozdaniach. Skoro jednak przyjechali goście zagraniczni, pływacy muszą być. Tylko skąd ich wziąć? Na tym doskonale zarysowanym tle rozgrywa się komedia, wypełniona gamą i nie pozbawiona daleko idących akcentów krytycznych.

Trzeci „dukat” wzbudził pewne wątpliwości. Jest to dzieło Kanadyjczyka Johna N. Smitha, którego tytuł można przełożyć na „W potrzasku”. Chodzi tu o młodego fantastę, Jamajczyka Pata, nie przyzwyczajonego do luksusów Monte Carlo. Myśli on, że w tym mieście nie tylko wszystko można dostać na kredyt (co jest prawdą), lecz także wolno spóźniać się do pracy, a to już prawdą nie jest. Wyrzucony po trzech spóźnieniach traci wszystko. Film byłby głębszy, gdy by chłopak był dobrym robotnikiem. On musiał opuścić pracę z powodu powiększającego się bezrobocia, gdyż: kto lekceważy pracę — powinien cierpieć.

Czwarty „dukat”, dla uroczego włoskiego filmu „Dziewczyna z promu” Amadeo Fago, także nie wywołał ogólnych braw na sali. Jest to historia nader nie samowita i pozornie nieskładna. Właściwie jest jednoosobowym wędrownym teatrem ku lalek zostaje przez ojca młodego chłopca posiadzonego o homoseksualizm, chociaż poczeiwcie nawet nie zna takie go pojęcia. Wściekli mieszkający miasteczka niszczą jego warsztat pracy i mieszkankę. Lituje się nad nim (mężczyzna ani ładny, ani bogaty) przewoźniczka z promu, której sympatię ten prosty człowiek zdobył. Dziewczyna spełnia jego niewypowiedziane marzenie — daje mu dziecko.

Wreszcie piątego „dukata” dostał Andrzej Czarnecki za „Szczurołap”, wywołując w chwili wręczania nagrody prawdziwy entuzjazm sali. Zaproponowali nam Mannheimowi film, którego komisja selekcyjna nie przyjęła, czemu się nie dziwie. W to miejsce miał być przyśłany „Zygfryd” Domalika — murywany na tym rynku kandydat do jednej z czołowych nagród. — Cóż, zgłosiliśmy go, gdyż lista filmów konkursowych była już dawno zamknięta. Na jeździe Stowarzyszenia Filmowców Polskich w Gdańsku

Jerzy Płazewski zwracał uwagę na takie, „od lat, uciekające nam okazje”.

Ponadto jury przyznało „rekomendację”, bardzo ważne dla biur wynajmu filmów, czterem dziełom całkowicie na takie wyróżnienie zasługującym. Pierwszym to zachodniemieński reportaż dotyczący kapitalnego staruszka z Alzacji. Z humorem i przyspiewkami opowiada on, jak to w ostatnich stu latach Alzacja przechodziła z rąk do rąk, ale ludzie jakoś żyli i żyją. Zrobione doskonale, w żywym tempie, pełne dobrotliwej ironii. Film „osi bardzo dziwny tytuł „Gdy ku ry są niespokojne — gdańca, — gdy ludzie — piszą wiersze”. Reżyserowali — Peter Heller i Joachim Gerner. Na wy wyróżnienie zasłużył również 10-minutowy film radziecki „Adonis 14” w reżyserii B. Sadykowa. Następnie wyróżnienie przy padło filmowi kanadyjskiemu „Tańcząc w mroku” Leona Marra. Film może n wyróżnienie nie zasłużył, ale gdy by dawano w Mannheimie nagrody autorskie, dostałaby ją na pewno Martha Henry, która stworzyła małe arcydzieło w roli i brzydkiej, i naiwnej żony. Wreszcie czwarte słuszne wyróżnienie przypada filmowi amerykańskiemu „Rozera na tęcza” Marii Florie i Victorii Mudd. Jest to dość rewoltująca historia usuwania Indian Nawajów z rezerwatów przez niechętnie ich pobyty, na i tak zbyt małych terenach, władze lokalne USA.

Specjalnie utworzone jury dla oceny filmów o ostrym krytycznym charakterze przyznało swą nagrodę filmowi japońskiemu (trwającemu bez mała 3 godziny) „Rokkasho Ningenki” reżyserii Aki. Kuroaki i Nobuko Yamamura. Przyznając, że na tym „ślusznym” filmie o wyrzucaniu z ojcowizn ludzi po to, aby tam budować fabryki, nie wysiedziało do końca.

Wśród filmów zalecanych do rozpowszechniania przez ewangelicki „Interfilm” znalazł się na drugiej pozycji nas „Szczurołap”, co niewątpliwie ułatwi sprzedaż tego dzieła.

Byli też w Mannheimie obywatele, którzy, dostrzegłszy, że jury nie miało dość nagród, aby wyróżnić wszystkie ciekawe filmy, ufundowali łączną nagrodę w wysokości trzech tysięcy marek, którą przy dzielono trzem filmom. Jest to opisany

już powyżej „Taniec w mroku”. Także bardzo ciekawy, chociaż kryjący troche płaskim podejściem do surrealizmu, film amerykański „Lunatycka”, w którym główna bohaterka godzi się na tłumaczenie jakiegoś starego chińskiego manuskryptu, co prowadzi do raczej nie samowitych, ale niezłych przez Sarę Driver zrealizowanych przygód. Trzeci to już jednoznacznie surrealistyczny film zachodniemieński „Koncert na prawą rękę” Michaela Bartletta. Pomysł polega na tym, że owej ręki właśnie nie ma, a jak się znajduje i zostaje dopasowana, to w okolicznościach tak niesamowitych i z tak zaskakującymi skutkami, że Bunuel się kłania. Jednakże trzeba przyznać, że film nie nudzi.

Jury prasy międzynarodowej FIPRESCI nie wykazało szczególnej inicjatywy, powtarzając nagrodę główną. Jury katolickie dało swoją nagrodę wysoko nagrodzonemu filmowi Bradbury’ego, ale i wyróżniło dotychczas w liście nagród nieznany, a bardzo ciekawy film amerykański „Pleko” — czyli wizyta w Hiroszimie. Chodzi tu oczywiście o tragedię atomową, jaką przeżyło to miasto, ukazaną od strony pary bardzo starych malarzy. On i ona, będąc blisko Hiroszimy prawie bezpośrednio po tragedii, widzieli wszystko. Od tego czasu przez 40 lat malują olbrzymie płótna wyłącznie na ten temat. Jury ewangelickie „Interfilm” temu właśnie dziełu dało swą nagrodę główną.

Powstaje pytanie: czy wszystkie jury nie pozostawiły bez nagrody jakiegoś godnego uwagi filmu. Uważam, że krzywdą się stała włoskiemu „Hotel cieni” Stefano Masi i Stephena Natansona. Jest to zaledwie 17-minutowa relacja z budowy i urządzania największego w Europie archiwum filmowego, zrobiona kapi talnie, z dużą dozą humoru. Włochom nasza filмотeka może pozazdrościć olbrzymich wprost przestrzeni i gigantycznych, latwo przesuwalnych regałów, na których we właściwej temperaturze i wilgotności spoczywają dziesiątki tysięcy filmów.

Na zakończenie chciano nam zapewne zrobić przyjemność, wyświetlając (trzeci już) tym razem australijską wer-

sję filmową słynnej noweli Radigueta „Diabeł wcielony”. Zaczynało się nawet niezle, gdyż dziewczyna śliczna (Catic Caballero) okazała się nie mniej uatleniowana od Micheline Presle, znanej z pierwszej wersji. Niestety, chłopak Keith Smith jest całkowicie pozbawiony uroku, koniecznego w tej roli, a który w pełni miał Gerard Philippe, Zresztą druga równoległa wersja włoska, tak wielkiego reżysera jak Marco Bellocchio, też się nie udała, właśnie z powodu źle dobranej dziewczyny (Maruszka Detmers). Jej partner Federico Pizzalis był znacznie lepszy od swego australijskiego konkurenta. Z obu tych współczesnych wersji wynika jedno: jeśli się w sprawie adaptacji nie ma nic nowego do powiedzenia, jak to przed 35 laty zrobił Claude Autant-Lara, należy zrezygnować z projektu filmu. Film francuski, zgodnie z nowelą, kończy się tragicznie śmiercią bohaterki. W filmie australijskim zdradzoną żonę, zdradzającą żonę i kochanek bawia się wspólnie dzieckiem owego kochanka.

Nawet dość szczegółowe sprawozdanie z nagród i paru innych tytułów nie daje ogólnego pojęcia o festiwalu, który miał inne, wielce interesujące sekcje, jak „Filmy trzeciego świata” wyświetlane niestety równocześnie z filmami konkursowymi. W sekcji informacyjnej utalentowany Werner Nekes pokazał film „Co zdarzyło się rzeczywistości między tymi obrazami?”, czyli prehistorię filmu wraz z wszystkimi prawie dziecięcymi wynalazkami, które doprowadziły do narodzin nowej sztuki.

Drugie pytanie, jakie wylania się po każdym festiwalu, brzmi: gdzie jesteśmy i dokąd dążymy? Otóż trzeba jasno powiedzieć, że najgorzej na tym festiwalu wypadły filmy określone jako „eksperty mentalne”. Na średnim poziomie okazały się niektóre schematyczne filmy fabularne. Dobry lub bardzo dobry poziom osiągnęły krótkie czy długie reportaże. W sumie, jak sądzę, nastąpił powrót do tradycyjnego, dobrze pod względem fachowym realizowanego kina.

LEON BUKOWIECKI

KUPON 
 WGD WGD
 ROZRYWKI 23 / 86
 UMYŚLOWE